

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 18. V. 1952 r.

Nr 20 (354)

W NUMERZE:

T. MURAS — Gazetki wiejskie — orzeczem socjalistycznej opinii
J. MACIEJEWSKI — Reportaże o spółdzielniach Z. NOWICKI — Dzień lęku
J. STAWINSKI — Wyrok przekreślający konstytucję B. KOGUT — Na wygonie
Z. RZEPLINSKA — Drogi upadku i ocalenia Z. KUBALSKI — Pożar
T. SZEWEBA — Biblioteka w rodzinnym miasteczku L. Rudnickiego
L. MAJ — Co znaczy dla nas prasa i książki S. SKONECZNY — Do więzienia
S. CIESLAK — O trafny i żarliwy publicystę gospodarczą

„Więcej ekonomiki. Ale ekonomiki nie w sensie „ogólnych” rozważań, uczonych przeglądów, inteligentnych planów itp. Nie, ekonomika jest nam potrzebna w sensie zbierania, skrupulatnego sprawdzania i zgłębiania faktów rzeczywistego budownictwa naszego życia.”

LENIN

Zamieszczamy poniżej dwa reportaże o pracach melioracyjnych i zagospodarowaniu wielkich obszarów łkowych. Wydobycie z topieli włodawskiego powiatu to niemała sprawa w województwie lubelskim, podobnie jak nie lada sprawą staje się w Bydgoskim melioracja doliny Noteci. Ale reportaż Głowackiego i Ganczar nie powstały wyłącznie na zasadzie korespondencji wojewódzkiej, i nie odpowiadają tylko na pytania: co nowego na Lubelszczyźnie? Co nowego w Bydgoskim? Dużo jest nowych prac i w Bydgoskim i w Lubelskim w zakresie socjalistycznego budownictwa tej samej masy a nawet większej od włodawskich i nadnoteckich melioracji.

Reportaże konkretyzują na przykładach obu województw nowe w skali krajowej. Dostrzegamy pisarze w Lubelskim i Bydgoskim, jak dostrzec można je już w każdym innym województwie. Rusza naprzód jedna z potężnych dźwigni rozwoju i przebudowy rolnictwa — sprawa bazy paszowej. Ganczar i Głowacki dotarli do miejsca wielkich robót melioracyjnych i z mniejszym czy z większym powodzeniem ukazują w zbranych faktach nowe fundamenty rozwoju naszej gospodarki hodowlanej.

Wydobycie powiatu włodawski z topieli, zamienić step w dolinę Noteci na koczowniczą łkę urodzajnych — o czym pisze w Lubelskim i Bydgoskim, jak dostrzec można je już w każdym innym województwie. Rusza naprzód jedna z potężnych dźwigni rozwoju i przebudowy rolnictwa — sprawa bazy paszowej. Ganczar i Głowacki dotarli do miejsca wielkich robót melioracyjnych i z mniejszym czy z większym powodzeniem ukazują w zbranych faktach nowe fundamenty rozwoju naszej gospodarki hodowlanej.

Otóż w tym odstawianiu się nowy fundament dla gospodarki hodowlanej w całym kraju. Cztery miliony łek i pastwisk, rozproszonych na chłopskich parcelach choć nie stoją pod zalewem ani nie są obrócone w step — stanowią jednak gospodarkę prawie naturalną.

Są zaniedbane, nieuprawiane i w hierarchii indywidualnej gospodarki rolnej zepchnięte siłą fatalną drobnotowarowej produkcji. Tam gdzie powstała spółdzielnia produkcyjna chłopcy nauce widzą, że gdy u siebie na bazę paszową przeznaczą mogą 5 proc. obszaru, spółdzielnia 15—18 proc.

Tak wielkie roboty melioracyjne jak na „włodawskim polesiu”, jak w dolinie Noteci, otwierają perspektywę nie tylko na rozwiązanie problemu bezużytecznych dolin stepów i bagien, otwierają również oczy na wielkie nieużytki indywidualnych łek chłopskich, na niewykorzystane w tej postaci i w tych warunkach olbrzymie w skali całego kraju rezerwy produkcji rolnej. Otwierają oczy na domostwo bazy paszowej i na nowy fundament jej rozwoju.

Pisarz i publicysta okazuje służną czynność i spostrzegawczość, kiedy jedzie na „włodawskie polesie”, kiedy jedzie w dolinę Noteci.

Rozpoczęły się tam nie tylko wielkie roboty melioracyjne. Tam wyrastają wielkie przykłady i wzory dla zmian w bazie jak przez nie w ludziach. Obraz i kierunek tych zmian ma wielką wymowę ideologiczną. Sprawa bazy paszowej ukazuje nową dźwignię rozwoju spółdzielczości, ukazuje nowe źródło i nowy proces przemian w chłopstwie.

Zebrać, skrupulatnie sprawdzić i zgłębić te fakty rzeczywistego budownictwa naszego nowego życia na wsi — to jedno z ważnych aktualnych zadań agitaacyjnych pisarza i publicysty.

Redakcja

OLGA GANCZAR

NA „WŁODAWSKIM POLESIU”



Malował Julian Fałat

Latem odbywały się sianokosy, ale jakież to były sianokosy! Mężczyźni grzęźli w błocie po kolana, a trawę trzeba było wynosić na drągach. Kobiety nakładały wtedy grube, weliniane pończochy i chodaki, aby nie pokaleczyć nóg o ostrą trawę i dźwigały razem z kosiarzami mokre bierwiona. Do zimy nikt nie wywoził siana z włodawskich topieli, bo wóz razem z końmi zostawał w bagnie. Stawiali więc krowe szuwarem stodołki i tam składali swoje zapasy aż do czasu, kiedy mroź śniegiem w twardą skorupę maziły grunt.

W łęgowych lasach, otaczających półkolem zalewane wiosną i jesienią topieliska, wyrastały na tysiącach kopczyków czarnaświe olchy, piły wodę z gruntu i wypić nie mogły, tyle jej było. Z rzadka bielił się im bliżej brzozi, bo nawet ona, niewybredna, nie mogła wyciągnąć z tych zalewów pokarmu do życia. Na setkach hektarów rozciągały się między lasami mokre torfowiska albo dziwne pola kretowisk. Jeśli ktoś przyjrzał się im bliżej, dostrzegł łatwo, że to nie kret sygnal kopce, ale chłop próbował uprawy sapowatej ziemi. Próbował, aby porzucić wkrótce jalone skiby, które zalewała woda, pozostawiając po sobie martwe pola, omijane nawet przez turkaczy.

„Smutna ziemia”, „włodawskie polesie”, na którym chłop znalazł Zielawy uparcie próbował różnych sposobów. Kopał kręte rowy — i to nie pomagało. Spadek wody istniał bowiem w tym dorzeczu jedynie na napię, co tu znacząco 10 cm na 1 km, znanych przez kartografów.

Narzekano w rzadko rozrzuconych wioskach na biedę i słuchano tępo opo-

wiadań o urodzajnych stronach na południu Lubelszczyzny, gdzie ziemia, nawet topota poruszona, sypie grubym ziarnem z ciężkich kłosów. Słuchał tego jak baśni włodawski chłop i trzymał się nadal kurczowo błotnistych zalewów i wazylskich zagónów. Zaczęła się bierność w odciętych przez pół roku od świata wioskach podtrzymywali swoistą, chłopską teorię bezsilności. Podtrzymywali ją wszelkimi sposobami obszarnek sanacyjnej.

Dłatego na tej smutnej ziemi krzewiły się bujnie, niż gdzie indziej, chwasty reakcyjnego podziemia. Wróg jak pajak zaszywał się w najodleglejsze kąty. W powiecie włodawskim jeszcze dwa lata temu strach bielił chłopów, w czasie której zostaje ujęty Makówka. Od wyroku i więzienia ratuje go siostra Natalia, wyłamując razem ze Stefanem Luciem zamek w drzwiach gminnego aresztu w Krzywierzbie.

Ostatnie lata działalności Makówki — to praca w KC, udział w jeździe berlińskiej 1931 roku i robota organizacyjna w województwie łwowskim, do której skierowała go KPP. Padł na posterunku, od kuli policjanta, zaskoczony na konferencji partyjnej.

Padł Makówka, ale pozostali towarzysze. Wiele z nich opuściło więzienia dopiero pamiętnego września 1939 roku. Zakładają podziemną organizację dla zwalczania okupanta, a później łączą się z Armią Ludową.

Hitlerowców przepędziła Armia Radziecka, pozostał jednak we włodawskim powiecie drugi wróg — faszystowskie podziemie. Bandy Żelaznego i kamratów posłały niejednemu z towarzyszy bratobójczą kulę zza węgla. Powstanie spółdzielni produkcyjnej w Kodeńcu, pierwszej w powiecie włodawskim, było pośmiertnym zwycię-

Gdy nadeszły chmurne i górne dni walki proletariatu radzieckiego o wolność i sprawiedliwość, Makówka nie pozostał na uboczu — wstąpił do Komсомолu i bił się razem z żołnierzem radzieckim. Boje te stały się dla niego wielką szkołą, w której nauczył się odróżniać wroga chłopskiego od sprzymierzeńca. Wrócił do Kodeńca dopiero w 1922 roku już po stłumieniu walk prowadzonych we Włodawie przez zrewolucjonizowanych robotników i chłopów. Wystraszeni obszarnicy sprowadzili wtedy dla ochrony swoich majątków wojsko.

Niesprawiedliwość społeczna była zbyt wielka na Lubelszczyźnie — w województwie wielkich obszarneków i dwumorgowych gospodarstw. Nazwisko Makówki już po roku znalazło się na listach tropionych kapeców. Nie odstraszył go nawet wyrok skazujący na 5 lat więzienia (w Siedlecach). Po zwolnieniu Makówki powstają we Włodawie jedno z drugim ognia KZM i MOPR-u. W Kodeńcu Makówka organizuje cały sztab rewolucyjny, mnoży się odczyty demaskujące podstępne poczynania rządu sanacyjnego, który starał się pogłębić sprzecznosci na tle wyznań religijnych, organizował sieć szpiegów i prowokatorów, i podsycał nacjonalizm ukraiński.

W lipcu 1930 odbywa się we Włodawie wielka manifestacja robotniczo-chłopska, w czasie której zostaje ujęty Makówka. Od wyroku i więzienia ratuje go siostra Natalia, wyłamując razem ze Stefanem Luciem zamek w drzwiach gminnego aresztu w Krzywierzbie.

Ostatnie lata działalności Makówki — to praca w KC, udział w jeździe berlińskiej 1931 roku i robota organizacyjna w województwie łwowskim, do której skierowała go KPP. Padł na posterunku, od kuli policjanta, zaskoczony na konferencji partyjnej.

Padł Makówka, ale pozostali towarzysze. Wiele z nich opuściło więzienia dopiero pamiętnego września 1939 roku. Zakładają podziemną organizację dla zwalczania okupanta, a później łączą się z Armią Ludową.

Hitlerowców przepędziła Armia Radziecka, pozostał jednak we włodawskim powiecie drugi wróg — faszystowskie podziemie. Bandy Żelaznego i kamratów posłały niejednemu z towarzyszy bratobójczą kulę zza węgla. Powstanie spółdzielni produkcyjnej w Kodeńcu, pierwszej w powiecie włodawskim, było pośmiertnym zwycię-

stwem Makówki. Nazwano ją jego imieniem. W dorzeczu Zielawy zaczęło po raz pierwszy gospodarować inaczej. W chłopskich chatkach zaświeciła żarówka a na polach zagrały traktory. Zbudowali dwie wielkie kryte eternitem obory i magazyn. Stanowią one zaczątek wielkiej gospodarki, albowiem w Kodeńcu stanie takich obór siedem dla 300 sztuk rasowego bydła i stada owiec karakulowych.

Ta sama droga poszła Hołowno, potem Zahajki, Wyhalew, Lipówka, Krzywierzba i kilka innych wsi. W dorzeczu Zielawy rozrasta się wielka kolonia spółdzielczości produkcyjnej. Ale choć wprowadzono nowe formy gospodarki w zbożowych i okopowych — turczyka panoszyła się nadal na mokrych łakach a wiatr marszczył jak przed laty powierzchnię czarnej wody w starych rowach i rozległych zalewach.

Przed dwoma laty przyniósł pastuch do wsi nowe. Nad Zielawą pojawiły się cudaczne maszyny. Obcy ludzie układają tor a dźwigi kopaczek czepią błoto z dna rzeki.

Słowo „melioracja” powtarza zaczęło w Opolu, Podedworzu, Paszencek i innych wioskach.

— Iiili... dużo to pomoże. Tutaj woda stoi setki lat. Sołtyś w Paszencek ma plan jeszcze jak był Napoleon i takie same na niej w roku 1812 oznaczył geometra bagna...

A tymczasem po mokradłach wędrowali ludzie w wysokich gumowych butach. Dźwigali z miejsc na miejsce przrządy, mierzili, notowali. Kępa za kępą, torfowisko za torfowiskiem, ręką za rowem, las za lasem wypełniały czarne gęste szczególowe plany, rosła przestrzeń pomiarów.

Przy kopaczkach zaczęli pracować Feliks Król i Stanisław Kiry z Horodyszcza. Nauczyli się nie tylko obsługi maszyn, usprawnili nawet pracę, zaprzęgaąc dźwigi do przenoszenia szyn, które przedtem układali ludzie. Bieg Zielawy przostawał się, dno opadało niżej a podnosił się brzeg.

Mieli już poza sobą 11 kilometrów, kiedy nastąpiła susza. Na torfowiskach pod Paszencą zaczęły się ścielić jedne-gocierzo dymy. Wiatr rozniósł po okolicy duszący, nieprzyjemny odor.

— Torf się pali.

Nieostróżny pastuch zapalił ognisko w wyprochniałym pniu, ściętej dawno olchy i nie zagasił. Nocami nad torfowiskiem żarzyła się luna a duszący dym

niektórych terenach rośnie tylko śmiałek darniowy, nie więcej. Mało tego — wazę łaki zaczynają zamieniać się w step. Jaka jest przyczyna tego stepowania ziemi? Sprawa jest prosta. Gleba torfowa składa się z różnych szczątków roślinnych, czyli tak zwanej materii organicznej. Kiedy torfy zostały osuszone, nastąpiło, szybko spalenie „materii organicznej”. Ten brązowy proszek, który występuje tu w okolicy, to właśnie produkt spalania torfu.

Jaka na to rada? — melioracja. Po nawodnieniu waszych łak, proces spalania wierzchnich warstw torfu zostanie powstrzymany, a jednocześnie woda przesiąkająca w głąb ziemi uwrapi w ruch wody gruntowe i dostarczy tlenu dla bakterii. W ten sposób łaki zostaną odkwaszone, chwasty, które lubią właśnie glebę kwaśną, wyginą i z nieużytków otrzymacie piękne łaki, które dadzą przynajmniej po siedemdziesiąt kwintali siana z hektara.

Zebrań słuchali z uwagą, starając się nie przeskadzać mówcy nawet kasłaniem.

— Oczywiście — ciągnął dalej inspektor — po zbadaniu może okazać się, że nie wszystkie łaki potrzebują nawodnienia, ale wszystkie muszą być zagospodarowane. Tam, gdzie potrzebna będzie orka — zaorujemy, tam gdzie potrzebny będzie podsiew traw szlachetnych — dostarczymy nasion. Chodzi o to, żeby wasze łaki dawały wam należyte plony. Wiecie, co jest warte było bez łaki. Tutaj kraj jest dość uprzemysłowiony. Otrąb, wyłoków i innych pasz przemysłowych macie pod dostatkiem. Ale było trzymane w oborze i karmione tylko tymi paszami choruje na gruźlicę i bezpłodność. Otręby, wyłoki to wszystko są pasze poślone, ale jednostronne. Gdybyście człowieka karmili samą słoniną, to po czterdziestu dniach mielibyście już nieboszczyka. Tymczasem łaka składa się z 2500 różnych roślin. Jedna trawa jest gorzka, druga kwaśna, trzecia słodka, jedna zawiera witaminę, druga inne. Krowa ma na pastwisku i ruch i światło i powietrze i rozmaite pożywienie. Wtedy (Dokończenie na str. 2-ej)

Sprawa bazy paszowej

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—

—



Foto J. K. Maciejewski

wiskał się szparami do chałup. Od torfu zapalały się stogi siana i oświecały smutną równinę olbrzymimi pochodniami. Służba melioracyjna zebrała chłopów do kopania rowów. Ogień udało się umiejscowić dopiero po kilku tygodniach. 300 ha torfowiska zamieniło się tego lata w popiół, którego nie porasta nawet turczyka. Zimą w kilku wioskach zabrakło dla chudych krow mizernego siana. Ale nie zabrakło pomocy ze strony państwa.

Gdy kreślacz przeciągnął ostatnią linię w skomplikowanej sieci rowów, na szczegółowym planie melioracji dorzecza Zielawy, nad mokradłami trzepotała już ciężkimi skrzydłami czajka, a wysoko nad nią płynęła mała eskadra bekasów — znak nieomylny zbliżającej się wiosny. Urzędniczy Gminnej Rady Narodowej w Opolu-Podedworzu, nabrał większego wigoru. Telefonogram z Lubliną zapowiadał przyjazd inżyniera z planami, do których miał prawo wglądu każdy chłop.

Oglądali te plany chłopcy, ciekawo co wymyślił inżynierowie. Przyszyni tłumaczyli i odpowiadali na pytania.

Dowiedzieli się więc, że dorzecze Zielawy obejmuje 10 tysięcy hektarów ziemi, z której nie odpływa woda ze względu na minimalny spadek. Grunty są tutaj przeważnie lekkie, bielle albo piaszczyste a podłoże mają gliniaste, wskutek czego nagromadzone w ziemi woda nie może wsiąknąć głęboko w ziemię. Uniemożliwia to gromadzenie się większych zapasów wilgoci w glebie i powoduje wiosną i jesienią zalewy na całym obszarze. W lecie wody parują i nie starcza wilgoci dla roślinności. W takich warunkach powstają olbrzymie bagna.

Obszar nad Zielawą zamienił się po zmeliorowaniu i zagospodarowaniu łak w wielką bazę paszową, dostarczając rocznie około ¼ miliona kwintali siana ze szlachetnych gatunków traw. Przedtem trzeba jednak uregulować 25 km brzegów Zielawy, założyć w najbliższych latach dwa zbiorniki wodne o powierzchni 350 i 150 ha przez usypanie wokół wyznaczonego terenu wału wysokości 3 metrów. Niezależnie od tego należy wykopać sieć kanałów odprowadzających i wybudować na Zielawie kilka śluz i jazów dla regulacji dopływu i odpływu wody. Przez racjonalną gospodarkę wodną uzyska się 2 tysiące ha ziemi ornej, tysiąc ha gruntów nad zalesienie oraz 6,5 tysiąca ha łak, które dostarczą w pierwszym latach po zagospodarowaniu po 100 kwintali z hektara. Licząc kwintal po 100 złotych, zbiór ten przyniesie rocznie sianu wartości 65 milionów złotych.

Dla stałego zapewnienia dorzeczu Zielawy zapasów wody, której bujniejsza roślinność będzie potrzebowała więcej, zaprojektowano budowę kanału Wieprz — Zielawa długości 65 km. Poziom wody na Wieprzu jest wyższy o 16 metrów, można będzie więc zalewać wiosną zalewać łaki. Woda z Wieprza ma w sobie kolor kawy od rozpuszczonych leśów, osadzi więc żyzny mul na biellech i spłynie oczyszczona do zbiorników. W ten sposób zdobędzie się doskonały nawóz łakowy. Poza tym kanał ten będzie zaopatrywać w wodę Państwowe Gospodarstwa Polne w Jellancie i Sosnowicy, gdzie prowadzi się hodowlę ryb.

Racionalizator i konstruktor pluga do „kreciego” drenowania łak — inżynier Kwapiński z Wydziału Wodno-Melioracyjnego przedmowa Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie chciał na zebranie do Opolu-Podedworza trochę niespokojny. Chłopi boi się zmian, a co dopiero, kiedy mu

(Dokończenie na str. 2-ej)

NA „WŁODAWSKIM POLESIU“

(Dokończenie ze str. 1-ej)

przedstawić tak gigantyczny plan roboty? Ale kto wie, może właśnie ten wielki plan go urzeknie. Bo o spółdzielni produkcyjnej był spokojny, spółdzielnia — jak mówił — to już zupełnie inny człowiek. Ale w dorzeczu Zielawy większość stanowią gospodarze indywidualni. W dodatku powiat włodawski znany jest z tego, że gminy rady narodowe nie bardzo potrafiły organizować roboty szarwarkowe.

Gdy rozpoczynali obrady w sali było ponad stu ludzi, do zabierania głosu nie kwapił się jednak nikt. Z Podedwórz przyjechał najwięcej gospodarzy, ale czekali na Kusiuka, który zwołał w ich sprawach zabrał głos. Inne gromady czekały znów na to, co powie Podedwórz.

Kusiuk spóźnił się, ale przystąpił od razu do rzeczy. Musiał nad planem prześledzić niejedną godzinę, znał bowiem na pamięć granicę, którą miało przebiegać obwałowanie wielkiego zbiornika. Wzrostł laską po grubej, czerwonej linii prawie nie patrząc na mapę. Linia ta właśnie przepoławiała łaki gospodarskie i pastwisko gromadki w Podedwórz. Czym będą karmiły bydło, gdy im zaleją połowę tego, co mają? Jego zdaniem należało granicę zbiornika przesunąć trochę na wschód, wtedy łaki z Podedwórz pozostałyby za wałem.

Kusiuk mówił płynnie jak z nut. Grupa podedwórz w milczeniu potakiwała jego słowom.

Stefan Zielonka nie miał takich zdolności krasomówczych jak Kusiuk, ale podniósł się z ławy i zapytał, co będzie z nimi, gospodarzami z Rusli, jeśli przesunie się zbiornik w ich stronę? Będą musieli przecież oddać pastwisko pod zalew.

W obu mówców ugodził wywód trzeci. Był nim Franciszek Krzywda z Paszenek. Jakże żyć nam dostojnie, jeśli 75 procent gruntów gospodarskich to mokradła do tego jeszcze rozrzucone w szachownicę i pocieję na zagony 3-metrowej szerokości a 3-kilometrowej długości. Nasza wieś chce jak najprędzej przystąpić do roboty melioracyjnej.

Z grupy Kusiuka już kontrolną czyjął głos:

— Spieszno nam, bo będziecie mieć z melioracji korzyść. Wasze łaki są poza zbiornikiem a spalane torfowisko można zalać spokojnie i tak nic na nim nie urosnie. Ale co ma robić chłop z Podedwórz? Chyba kupić kózę i przywiązać do brzozy, bo krowy nie będzie czym żywić.

W oczach inżyniera Kwapiszewskiego odmalowało się zwątpienie czy przekona tych chłopów.

Głos teraz zabrał sekretarz KG, tow. Hetman.

— Nie dziwię się, że wielu z was patrzy na ten plan widzi tylko, własne podwórko i krowy ogon. Chłopa włodawskiego długo oszukiwali obszarnicy, oszukiwał go przedwojenny rząd, szczerł jednym na drugich prowokator. Ale ja was pytam: Kto was teraz oszukuje? Nie mówili wam w Wojevodzie Radzie Narodowej kiedyś: Biercie bezpańską ziemię na Popówce? A wy nie wzięliście, bałście się podatku i odstawa zboża. A teraz placiecie, że Popówkę zabrała spółdzielnia w Opolu. Wy w Podedwórz zawsze boicie się i przegapicie, a potem narzekacie.

— Ale dziwię się, że tak samo stawia sprawę Kusiuk, najtęższa pono głowa w Podedwórz. Sprzeczać się już dwie godziny, gdzie ma być jeden zbiornik

a o drugim ani słowa, bo leży na terenach spółdzielczych i my go zbudujemy. Czegoście to nie powiedzieli, że spółdzielcom też będzie strata i krzywda? Ech, wy... Jeśli tych 5 gromad, gdzie część gruntów ma być też zalana, nie dojdzie do porozumienia, babcie, żeby nie było za późno jak z Popówką.

Kusiuk milczał, ale koniec łagi, który trzymał dotąd na linii przecinającej gospodarskie łaki obsunął mu się na podłogę.

Teraz wstał Paweł Kliman, członek spółdzielni produkcyjnej w Krzywowie.

— Byłem w szkole rolniczej i widziałem zagospodarowaną łakę na meliorowanym terenie. Zbierali na niej z hektara tyle, ile wy macie teraz z dziesięciu i to jakiego siana, ziola pachnącego. Gdyby gospodarzowi została czwarta część tych błot, to po osuszeniu zbierałby każdy z was więcej, niż dotąd zbieraliście wszyscy razem. Ja wam to mówię, chłop z Podedwórz.

Podedwórzanie czekali, co powie Kusiuk, ale ten wciąż milczał.

Raz jeszcze wystąpił inż. Kwapiszewski. Poniosło go „święte oburzenie”. Nie myślał tłumaczyć. Cały się trząsał. Kiedy zaczął mówić, zrozumiałam, że chce chłopom pokazać, jak bardzo obrażała te wielkie rzeczy i sprawy, w których służbie on pracuje, które jego inteligenta uczyniły socjalistą. Inż. Kwapiszewski nie znał dobrze chłopów a co dopiero mówić o chłopach z gminy włodawskiej. Nie potrafił się, że targ o zbiornik wcale nie oznaczał, jakoby chłopom niczego więcej nie rozumieć.

— Ale jego wystąpienie niewątpliwie przyspieszyło przełom.

Teraz dopiero ten racjonalizator-inżynier mówił z przejęciem a jego oburzenie, jego ironia wprowadziły w pole działania nowy zabieg, silne oddziaływanie na uczucia. Oczywiście, czynił to mimo woli, dając folię swemu oburzeniu.

— Ale dopiero teraz zwarił się z chłopami, dopiero teraz drenał w ich duszach, przekopywał w nich kanały i pomagał spływać przekłętym zastoiskom upartej bierności.

— Chłopi, ja was słucham i za głowę się łapię. Bo co ja słyszę? że my do was przyszliśmy po to, aby w takim np. Podedwórz chłop nie mógł krów hodować i z kózka tylko został pod brzozy. Nie tak wy całą sprawę przedstawiacie?

— O ten zbiornik nam idzie.

— Właśnie, o ten zbiornik. Zbiornik i zbiornik. Czyli jak wy powiadacie — nowe nieszczęście. O, tak, idzie na was wielkie nieszczęście, wy się w nim do brzo rozpatrzcie. Mówicie, zbiornik, to mało — a wale, 25 km wałów wzdłuż brzegów Zielawy — to ku wam nie idzie? Drżycie, jak krety. A kanał z Wierza do Zielawy, całych 65 km, to ku wam nie idzie? Cemuż nad tym nie placiecie? Oto ta wielka burza na waszą zagładę.

— Ile hektarów będzie miał wasz zbiornik?

— Ano, 150 ha, jak w planie stoi.

— A spółdzielcy?

— 350.

— Pięknie, tych liczb nie kwestionujecie. To jakim prawem udajecie, że o trzeciej liczbie w planie nie wam nie wiadomo? Na jedno ucho słyszyście 150 ha — bo to zbiornik. A na drugie ucho już nie słyszyście o 10 tysiącach ha, które wydobyliśmy z łopielisk pod najlepsze w Polsce łaki i wcale dobre pola orne. Dlaczego wy tego nie słyszyście? Co?

Kto by potrzebował wam niszczyć waszą okolicę, kiedy bardziej zniszczoną trudno sobie w ogóle wyobrazić. W

zalewach, sapach, torfie i turzycy już siedziacie od zająca i pradiada.

Ludzie, zastanówcie się, po co robotnicy zrobili wielkie maszyny do kopania, po co je wysyłają tutaj, aby kanał polaczył Wierzę z waszą Zielawą? Po co ta ołbrzymia robota, po co walać i prostować bieg Zielawy? Po co te zbiorniki i łaki i rowy, po co?

Znowu nie słyszyście, co w planie stoi? 6 i pół tysiąca ha łak będziecie mieć, które dadzą po sto q z ha. Najmniej dziesięć razy tyle, co wy macie z ha. Ale wy macie tylko kępuszki na oceanie waszych zmarnowanych rozlewisk. Przybędzie więc wam 10 razy z ha i 10 razy więcej hektarów. I to nie tylko łak. Wydzwigniemy 2 tysiące ha ziemi ornej, tysiąc pod zalesienie, a w zbiornikach, kanałach i rowach hodować ryb zaprowadzimy. Macie, to wasze nieszczęście. Protestujcie przeciw całemu temu nieszczęściu i niech was diabli biorą!

Inżynier usiadł jeszcze bardziej roztrzęsiony, a wtem sala zatrząsa się od okłasków. Kiedy umilkli, wstał Krzywda z Paszenek.

— Nasza gromada wybrała komisję melioracyjną, chcemy przyspieszyć roboty i dlatego wyjdziemy do kopania. Starcy opowiadają u nas, że za sanacji też niby starostwo zabierało się do kopania rowów ale kazali sobie naprzód zapłacić po 120 złotych od hektara. A skąd te było brać, kiedy jeden hektar nie dawał nawet połowy tego, co chcieli. Teraz państwo dala plany, maszyny, kredyty, będziecie sprawować nadzór nad robotami i nie nie kazano płacić, chociaż samo tylko zrobienie planów kosztuje na pewno furę pieniędzy. W Paszenkach słyszełyśmy my przez radio apel chłopów z Chraplewa o uczczeniu 60 rocznicy urodzin naszego Prezydenta. To wam powiem — że chłop z Paszenek odpowiada na ten apel i wyjdą w same urodziny Prezydenta do roboty przy melioracji.

W sali zapanowała cisza tak wielka, że aż mnie to zdumiało. Spodziewałam się okłasków. Ale teraz to i ja nie zdążyłam egzaminu. Teraz i ja nie pojęłam włodawskich chłopów, chłopów ze „smutnej ziemi”, na której dwie bilsy się z sobą tradycje. Tradycja ucisku bezsilnej przyrody i bezsilnego wyzysku kapitalistycznego i tradycja buntu, który potrafił w tych rozkudłanych głowach zaplanować planem rewolucji proletariackiej.

Rozejrzałam się, nie była to martwa cisza. Ocy wszystkich wpatrywały się w Kusiuka. Ocy wszystkich zdawały się mówić — ostatnia twoja chwila do połączenia się z nami.

Kusiuk wstał. Rozproszony się ten średniak i odciekający, zakrzyknął: — To do tego trzeba było zaczynać a nie od zbiornika. Cemuż nie, Krzywda, dusili najważniejsze, jak kota w worku? Podedwórzanie nie gorszy od chłopów z Paszenek. Na apel Chraplewa, że idziemy, wpisujecie do protokołu, że i my wychodzimy razem do roboty. Przejechał po nas pan inżynier, oj, przejechał, ale my panie inżynierze też nienagannie, wpisujecie... — Teraz dopiero zahuczała sala okłaskami. Wszyscy wstali z miejsc.

30 gromad, w tym 12 spółdzielni produkcyjnych, zgłosiło około 7 tysięcy dniówek roboczych przy melioracji.

Chłop z Zielawy, opieszale dotąd w robotach szarwarkowych, po raz pierwszy stanął samodzielnym do zbiorów czyny. Stanął, bo zrozumiał, że nadchodzi gigantyczna przemiana, która wreszcie poradzi sobie z jego zalewami, turzycą, sapami i torfami.

Olga Gancarz

TADEUSZ MURAS

Gazetki wiejskie — orężem socjalistycznej opinii

W

dnia 11 i 12 marca br. odbyła się w Warszawie I-sza Ogólnokrajowa Narada Redaktorów Gazetek Gromadzkich zorganizowana przez ZG,

ZSCh Narada ta była połączona z

krajową wystawą najlepiej redagowanych gromadzkich gazetek ście-

nych.



Foto Maciejewski

Sam termin „gromadzka gazетка ścieńska” jest terminem tak samo nowym, jak nowa jest forma agitacji, która gazетка reprezentuje. Nie posiadała ona żadnego odpowiednika w przeszłości, ponieważ te zmiany, które ma przyspieszyć i ugruntować gazетка ścieńska, przychodzą na wieś po raz pierwszy. Ta forma agitacji musiała powstać i powstawała niekiedy zupełnie samorzutnie w wyniku wzrostu aktywności mas chłop-

skich. Uczestnicy Narady przedstawiali dzieje powstania swoich gazetek. W Biskupicach (pow. sycowski), jak opowiadała Józefa Kolodziejczyk, pierwszą sprawą, która skłoniła cztery kobiety ze wsi do wywieszenia gazetki, był skup zboża. Biedniejsi sprzedali zboże państwu, a bogatsi pochwali się. Kobiety wypisały w gazecie nazwiska tych, którzy się wywiązały w skupie i tych, którzy zwlekali z oddawą. Pod adresem opornych umieszczono w gazecie ostrą krytykę. Za dwa dni gazetkę ktoś ukradł. Skrytykownicy odgrazali się redaktorom: „ale publiczne napiętnowanie pomogło”. Odtań gazетка ścieńska stała się sumieniem wsi w każdej sprawie i organem wyrażającym intencje wszystkich uczuciowych ludzi we wsi. Pierwsze redaktorki, dwie starsze już i dwie młodsze, zdolny w krótkim czasie skupić wokół siebie szeroki aktywny lud, którzy sprawy wsi ujęli mocno we własne ręce. Nie przyszkodziło kulakce oburzenie i nazywanie redaktorów plotkami. Nie upłynęło bowiem wiele czasu, a z inicjatywą ludzi, których świadomość dojrzała w walce z kulaką o błąd, założono we wsi spółdzielnię produkcyjną. Do spółdzielni przystąpiło od razu 20 członków. Inicjatywa wsi umiała znaleźć swoją formę. Ta forma stała się gazетка ścieńska.

Trudno dziś wyobrazić sobie jakąkolwiek działalność na wsi, w której nie byłoby poparcia ludności, w której nie byłoby zrozumienia ze strony ludności, że ta działalność spełnia najżywniejsze interesy chłopów. Byłoby wielkim błędem politycznym gdyby jakakolwiek instytucja czy organizacja w terenie stała się tylko instytucją, przez którą państwo ze swoimi żądaniami docierałoby do chłopów. Byłoby wielkim błędem, gdyby instytucja czy organizacja działała bez inicjatywy wsi, gdyby była placówką, która by inicjatywę, często nieskrystalizowaną i błądzącą nie rozbudowała i nie organizowała, gdyby nie potrafiła wykazać chłopu, że jest prowadzona w jego interesie a tym samym w interesie władzy ludowej, i że jest obliczona na jego świadomy udział. I gdyby nie potrafiła zdobyć tego współudziału, skazana byłaby na bezwzględne niepowodzenie. Każda też nieudana akcja na wsi miała najczęstszą to zasadne źródło — była robiona z zewnątrz, bez udziału wsi.

Często można słyszeć z ust rozgoryczonych, samotnych działaczy narzekanie na brak zrozumienia u chłopów podstawowych i łatwych spraw. To zrozumienie jednak można bardzo łatwo obudzić, dając chłopu możliwość osobistego udziału w walce w realizację tych spraw. Dawno już wydano u nas walkę aktywistom działającym wśród ludu, a bez ludu, z tą taką działalnością najczęstszą ukrywa się wróg, ponieważ ta forma działalności czyni go odpowiedzialnym jedynie przed władzami zwierzchnimi przed którymi o wiele łatwiej jest mu ukryć swe własne oblicze, niż przed ludźmi, wśród których i dla których rzekomo pracuje.

Dobre i bojowe gazetki ścieńskie, jak wynika z ankiet i opowiadań uczestników, powstawały niejednokrotnie właśnie w momencie, gdy praca takiego „aktywisty” zaczęła się odrywać od udziału wsi i poza jej kontrolą. W Wierzbicach (powiat Września) gazетка ścieńska zaatakowała skutecznie kumoterstwo w spółdzielni Gminnej ZSCh. Nie szkodzi, że redaktorzy gazetki stracili zaufa-

nie w Zarządzie Spółdzielni. Zdobyli je natomiast u ludzi. Pokazali ludzkiem, że dziś nie wolno robić po cichu, ponieważ z takiej cichej roboty każdy ma prawo i obowiązek zrobić głośną sprawę.

W Ciszewie (pow. Czarnków) gazетка ścieńska zdemaskowała kumoterstwo w GS i spowodowała zmianę komitetu członkowskiego. We wsi Nowe Biele (pow. Koszalin) zmieniła nieuczciwego soltysa. W Borzęcinie (pow. Brzesko) udzielający pomocy sąsiedzkiej pobrał zbyt wysoką opłatę. Napiętnowany w gazecie zwrócił na wyższość. W Kamieńsku (powiat Piotrków) zdemaskowano przy pomocy gazetki wroga Tkacza Antoniego, który dostał się na stanowisko przewodniczącego ZGm. ZMP. Za słuszną krytykę chciał pobić członków zespołu redakcyjnego i zmusić ich do zdjęcia gazetki. Gdy tego nie uczyniono, włamał się do świetlicy i gazetkę podarł. Dalsza krytyka ujawniła, że Tkacz, pracując na etacie ZMP, dążył do siania antagonizmów w organizacji. Pracę przewodniczącego ZGm. ZMP wziął jako stanowisko płatne i autorytatywne. Pracował równocześnie w GS i Filmie Polskim w Kamieńsku. Jego sprawą zainteresował się z kolei Zarz. Woj. ZMP i KP. PZPR. Usunięto Tkacza z organizacji i zdjęto z odpowiedzialnych stanowisk.

Aktywność mas nabiera coraz większej siły. Dopuszczając ją do głosu, zbliżamy do chłopów wiele spraw, które nie rozbudziłyby jego twórczych wybiegających poza zaścianek zainteresowań, gdyby nie odwołali się do oddolnej inicjatywy i nie zaulali jej.

Poprzez aktywną działalność gazetki rośnie we wsi aktywny lud, który realizację najważniejszych spraw biorą sobie za sprawę osobistego honoru. Walcząc o sprawy słuszne kolektyw ten silą rzeczy wcześniej czy później połącznie z sobą każdego, któremu droga jest uczciwość i prawda — każdego człowieka pracy. Ci, którzy ulegają jeszcze kulackiej propagandzie, będą nadsłuchując kulaka poczytawo oburzać się i sarkać. Drażnić ich będzie spółdzielczość produkcyjna, planowy skup zboża i wiele innych spraw nowych dla nich i niezrozumiałych. Nie oburzą się natomiast, a przeciwnie, obdarzą gazetkę zaufaniem, gdy wystąpi w sprawach, których słuszność jest rzeczą oczywistą i zrozumiałą dla każdego, pracującego chłopu. W tym miejscu, zaczynając rozchodzić się drogi kulaka i uzależnionych od niego chłopów. Drogi te rozejdą się publicznie i głośno, ponieważ gazetka różnicę, jakie dzielą kulaka i pracującego chłopu, rysuje publicznie i ogłasza przed całą wsią domońnię. Jej notatki chwytające najaktualniejsze sprawy wsi są szeroko komentowane przez całą gromadę.

Gazetki, piętnując pijaństwo i chuligaństwo, kumoterstwo i wszelką nieuczciwość, najłatwiej zdobywają uznanie i współpracowników wśród starszych i młodszych na wsi. W ten bowiem sposób od zagadnień obywatelskich i moralności ludu wychodzą uczą, że moralność i obyczaj, to również sprawy stosunków społecznych, to również polityka w przyczynach i skutkach.

Taka aktywność wsi zapewne nie będzie po myśli kulaka. Gazetki ścieńskie propagując czytelnictwo, sport, maszynny SOM-ów, POM-ów, zespoły uprawowe, zdobycie nauk rolniczych, piętnując równocześnie nieuczciwość i nieuczciwość do nowości kulturalnych i gospodarczych, wysuwają do publicznej wiadomości i do ocy te sprawy, które w życiu wsi były dotąd rozumiane jako sprawy osobiste poszczególnych jednostek. Budują w ten sposób nową, socjalistyczną świadomość chłopu.

Spółród 168 uczestników narady większa część meldowała o skutecznym interwencjach gazetek w sprawie skupu i kontraktacji. Jest to bardzo ciekawe zjawisko.

Gazетка ma często większą siłę wychowawczą niż nagana w prasie lub administracyjna kara. Napiętnowanie z zewnątrz chłop często przyjmuje iże, licząc na współczucie jeżeli nie całej, to przynajmniej części wsi. Jego godność osobista na tym nie cierpi, ponieważ ocena jego godności uzależniona jest od opinii wsi. A ona właśnie na przestrzeni 7 lat nowożytności uległa wielkim przeobrażeniom, przechodząc z pozycji antagonizacyjnej do nieantagonistycznej w stosunku do władzy państwowej, jednocząc się z wola i myślą kierującą klasy robotniczej.

Napiętnowanie przez gazetkę jest naciskiem i moralnym i społecznym, stosowanym przez wsi i świadczącym dobitnie, że dawna, przyszłokowa („była polska wieś spokojna”) solidarność wsi diabli wzięli.

Gazетка, która równocześnie występuje w sprawach słusznych i zrozumiałych dla każdego chłopu, jak walka z wyższym kulackim usług, walka z kumoterstwem w gminie i powiecie, walka z chuligaństwem, propagowanie różnych form oświaty i gospodarczej pomocy państwa, zasługuje na uznanie i liczenie się z jej zdaniem. Gazетка, która wielokrotnie powiedziała właśnie to, co każdy chłop miał już na końcu języ-

ka, jest co najmniej organem, wyrażającym myśli najświatlejszych i najuczciwszych ludzi. Któż obojętnie przyjmie krytykę własnej osoby, o publikowaną w gazecie, która wola razy zdobyła sobie poparcie całej wsi? Takiego śmiatka nie znajdziemy! A co to znaczy? Znaczy to, że na wieś wkraczają nowe kryteria ocen! Znaczy to, że w kształtowaniu opinii i dobrego imienia traci swój monopol obywatelstwo. Tym nowym kryterium ocen społeczeństwa i moralnych staje się nowa treść świadomości politycznej i obywatelskiej, stosunek do zadań, jakie władza ludowa przed wsią stawia. Dawny kawalerski i „gospodarski” honor ustępuje miejsca obywatelskiemu honorowi. A to jest prawdziwa rewolucja.

Gazетка ścieńska, podobnie jak wiele innych form działalności politycznej i kulturalnej zmienia wieś z przedmiotu politycznej działalności na podmiot i przedmiot tego działania równocześnie. W tym właśnie tkwi główny sens nowych przemian że są one dokonywane przy czynnej pomocy, wraz z którą przemiany te się odbywają. Odgórna inicjatywa kierownictwa partyjnego spotyka się z inicjatywą, poparciem i czynnym współudziałem dołów — jak chciał Lenin.

Jeszcze kilka słów o redaktorach gazetek ścieńskich. Któż to są redaktorzy gazetek gromadzkich? Czy ja-

cyś to fenomenalni ludzie, że ich działalność zdolna jest na wsi przyspieszyć tak głębokie procesy? Nie, są to prości, uczciwi ludzie, oburzeni do głębi najdrobniejszym a niesłusznym postępowaniem. Redaktorami zostają wtedy, kiedy mają śmiałość oburzyć się publicznie, przy pomocy piśma. Wiele gazetek powstało właśnie z takiego oburzenia i były to najlepsze gazetki. W gronie ich redaktorów wychowywali się późniejsi aktywiści wiejszy.

Jest wiele wspólnego między redaktorem gromadzkiej gazetki ścieńskiej a korespondentem prasowym. Zarówno jeden jak drugi z własnej inicjatywy stawia sobie za punkt honoru walkę ze złem we wszelkiej postaci. Zarówno jeden jak drugi przeciwstawia temu złu istniejące lub proponowane pozytywne. Istnieje jednak głęboka różnica między działalnością jednego i drugiego.

Korespondent widząc szkodliwość lub błąd w terenie stara się im przeciwdziałać, odwołując się do interwencji i autorytetu centralnej prasy. Redaktor gromadzkiej gazetki ścieńskiej musi sam reprezentować sobą wysoki autorytet we wsi, bądź starać się, żeby jego wystąpienia były czynnikami organizującym i ośmielającym do wystąpienia pewną część wsi, do walki i działania na miejscu, własnymi siłami. Korespondent proponując określone ulepszenia polityczne, gospodarcze czy kulturalne działalności, poleca poprzez prasę centralną, poza gminą, poza powiatem i województwem — załatwienie tej sprawy ośmielając, nie angażując się osobiście w realizację własnych propozycji. Redaktor natomiast wraz z podobnymi propozycjami musi sobą reprezentować zdolność ich realizacji osobiście lub wiedzieć w terenie, na miejscu, określone, zdolne do tego siły. Korespondent może ukryć swoje nazwisko, redaktor musi występować jawnie i osobiście. Dlatego praca redaktora gazetki gromadzkiej jest bardziej odpowiedzialna, niż praca korespondenta.

Nie mówię tu o gazetkach tego typu, jakich części możemy spotkać w spółdzielniach produkcyjnych i w niektórych PGR-ach. Ich materiał ogranicza się często do komentowania wydatków. Nierzadko redaktorzy zadowolają się wycinaniem artykułów z gazet. Taka gazетка pozbawiona swej demaskatorskiej i twórczej pasji nie spełnia w życiu wsi w pełni owego zadania.

Na naradzie redaktorów w Warszawie było obecnych 23 redaktorów w wieku ponad 30 a nawet ponad 40 lat. Jest to zjawisko bardzo dodatnie, ponieważ świadczy o tym, że sprawa gazetek jest sprawą nie tylko młodzieży, lecz w dużej mierze również sprawą starszego pokolenia.

Zagadnienie gazetek ścieńskich na wsi wydaje się sprawą niezwykle ważną. I wśród spraw wiejskich wymaga ona bacznej uwagi władz i organizacji terenowych. Należy wielki nacisk położyć na rozwijanie tego ruchu oddolnej inicjatywy twórczej. Zagadnienie funkcjonowania gazetki ścieńskiej wymaga szerokiego zbadania, by już w zaraniu tego ruchu rozporządzać doświadczeniami, które ten ruch mogą przyspieszać i nadać mu największą dynamikę i skuteczność.

Tadeusz Muras

W DOLINIE NOTECI

(Dokończenie ze str. 1-ej)

dy sama jest zdrowa i daje zdrowe mleko. Nie trzeba jej nawet dawać otrąb ani strączkowych, sama trawa czy siano z dodatkami buraka dla soku wystarczą. Dobrze siano ma przecież 12 proc. białka, podczas gdy otręby tylko 8 proc.

— No i łaka to gnoj, a gnoj to urodzaj na polach — dorzucił z kąta Grochowski.

— Oczywiście. Chodzi więc o to, żebyście teraz powiedzieli: chciecie, żeby wasze łaki zagospodarowały, czy nie?

— Co do tego, nie może być gadania — mrknął siedzący na przedzie wasaty gospodarz — jeden z indywidualnych z Olszewki. — To się rozumie samo.

— No to dobrze. Chodzi teraz o to, w jaki sposób będziemy pracowali. Mówca przerwał na chwilę. Na sali panowała martwa cisza.

— Jasne, że my wszystkiego wam nie zrobimy. Damy maszyny, nawozy i nasiona, damy wam łachowca — instruktora Grochowskiego, którego dobrze znacie. Reszta należy do was. Ale żeby wasza praca nie poszła na marne, żeby dala wyniki, proponujemy wam złożyć zrzeczenie.

Inspektor Romejko obejrzał zebranych.

— Macie takie zrzeczenie w sąsiedztwie, wiecie na czym ono polega: łakę uprawiamy i pielęgnujemy wspólnie, kosimy wspólnie, a siano zbiera każdy sam ze swego kawałka i robi z nim co mu się podoba.

Patrzyli na salę. Twarze były skupione, poważne. Widać było, że zebrani zgadzają się z mówcą, czekają tylko dalszych wyjaśnień.

— Dlaczego proponujemy wam zrzeczenie? — mówił dalej insp. Romejko. — Dlatego, że z każdym z osobna trudno jest dojść do ładu. Ten chce siać dż, tamten za tydzień, ten chce dać kwintal nawozu, tamten dwa kwintale, a znajdują się jeszcze tacy, którzy zechcą część nawozów „zaoszczędzić”, żeby je wysiać na swoje pole. Tymczasem, jeśli będzie zrzeczenie — instruktor zabierze odpowiednie mieszanki traw, zdecyduje gdzie i jak należy nawozić, a pertraktować nie będzie musiał z każdym z osobna tylko z powołanym do

tego zarządcom. To samo z pieniędzmi. Jeśli trzeba będzie opłacić traktoryzów, zalać im do członka zarządu, którego wybieramy na skarbnika.

Pomyślecie więc i zdecydуйте: ma być zrzeczenie, czy nie?

Chwilę trwała cisza, po czym rozpoczęły się szepty prowadzone narady. Przerwał je dopiero soltys, który wystąpił z wnioskiem: myślę, że sprawa jest jasna. Kto jest za zrzeczeniem — ręką do góry.

Rozejrzałam się. Dokola unosiły się czarne, spracowane ręce, dzwigające ważką dla wszystkich decyzję. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że na tej sali są przecież dwa światy: nowy i stary. Czyżby rzeczywiście „łaki ich pogodziły”, jak to przewidywał przewodniczący Gruszczyński? We wszystkich jeszcze nie, ale w tej chwili, gdy stary świat wchodził na nową drogę, antagonisty stały się niewidzialne.

Soltys siadł do sporządzenia listy. Nazwisko, imię, łaka... Padaly cyfry: 3 hektary, 4 hektary, 3 i pół hektara... Pierwsze podały swoje nazwiska kobiety. Sledziłem je z uwagą przez cały czas zebrania i widziałem z jaką ciekawością i zainteresowaniem słuchały wywodów insp. Romejki. Za nimi poszli mężczyźni. Chyba cała gromada? Oto soltys pyta — kto nie przystępuje do zrzeczenia? — Chwilka, Chwilka nie chce przystąpić.

— Chwilka, nie chcecie?

Wszystkie głowy skierowały się w kierunku pieca. Poza nim siedział ktoś, kogo nie widziałem, ale czyj głos usłyszałem za chwilę:

— U mnie nie ma co robić z maszyną. Tam maszyna nie wejdzie.

— Dlaczego?

— Tam człowiek ulganie, a co dopiero maszyna. Szkoła gać.

Znow głos zabrał inspektor Romejko.

— Jeżeli u was za dużo wody — to odwołujemy. O tym zdecydować już instruktor Grochowski, który tu z wami zostanie i specjalna komisja, ale coś mi się nie wydaje, żeby u was było tak mokro.

— Nie jest tak źle — dobiegł głos z końca sali.

— Za piecem zahuczało.

— Tam jest dziura po torfie. Tam maszyna nie wejdzie i koniec.

Juliusz Glowacki

JANUSZ MACIEJEWSKI

REPORTAŻE O SPÓŁDZIELNIACH PRODUKCYJNYCH

I

JEST faktem wielokrotnie już sprawdzonym, że w podejmowaniu nowej, aktualnej problematyki reportaż wypycha zawsze literaturę sensu stricto. Nie będą przytaczał na dowód tego przykładów z przeszłości (dość wspomnieć Kotta „Węgiel” czy Zalewskiego „Traktory zdobędą wiosnę”). Ich poziom artystyczny i ideologiczny jest różny. Cechą wspólną natomiast jest odwaga z jaką poruszają sprawy nieśmiało dotąd traktowane w literaturze, sprawy tak ważne, jak zagadnienie obowiązków pracy w spółdzielni produkcyjnej, hodowli, inwestycji, dniówki obrachunkowej, kredytów państwowych itd.

Reportaże o spółdzielniach należy rozpatrywać ze względu na ich podwójną rolę: 1. jako historyczny dokument o trudzie tworzenia pierwszych wyłomów w drobnotwarowej i kapitalistycznej jeszcze strukturze polskiej wsi, 2. ze względu na ich wartość mobilizującą, agitacyjną w walce o całkowite przeobrażenie ekonomiki wsi. Pierwsze zadanie, to zadanie o obliczu skierowanym w przyszłość. Mają nasze reportaże mówić przyszłym pokoleniom o pracy i walce ludzi — założycieli pierwszych spółdzielni produkcyjnych, mają przekazać przyszłości nazwiska tych, którzy kosztem ogromnych wysiłków i wyrzeczeń walczyli o nie. Tutaj zadaniem naszym będzie prześledzić czy w sposób prawdziwy ukazują one obraz naszych dni.

Drugie zadanie reportażu to zadanie odnoszące się do zagadnień dnia bieżącego, to obowiązek mobilizowania mas biedniackich i średniackich do zwarcia wspólnego frontu wokół spółdzielni, a przeciw wrogowi klasowemu — kulakowi. Zastanowił się tu wypadnie nad tym, czy i w jakim stopniu te poważną funkcję polityczną spełniają reportaże wydane przez *Książkę i Wiedzę*.

II.

W roku ubiegłym na naradzie tworzącej reportażystów Ukrainy zastanawiano się w dyskusji nad sprawą, dlaczego reportaże z lat trzydziestych, reportaże o inicjatorach ruchu, stachanowskiego są już dziś pojęciem martwym, dlaczego żywot ich był tak krótkotrwały. Przyczynę tego zjawiska upatrywano na narażeniu w tym, że autorowie owych reportaży, jakkolwiek wyczerpująco opisywali nowe metody pracy nie potrafili wnikać w psychikę bohaterów, wykazać przełomu, jaki równoległe i w związku z rewolucją społeczno-gospodarczą, dokonywał się w ludzkiej radzieckiej, w sposobach ich myślenia i przeżywania. To nastawienie się jedynie na opisywanie dziejących się aktualnie procesów historycznych, przy jednoczesnym pominięciu albo przynajmniej pomniejszeniu roli człowieka i jego świadomości w tych procesach cechuje i nas współczesny reportaż. Łączy się to w pewnym sensie i z tym, że w literaturze burżuazyjnej reportaż traktowany był jako „kopciuszek” wśród rodzajów literackich. Przekonanie takie nadal pokutuje wśród większości naszych pisarzy, w wyniku czego pozostaje on domena dziennikarzy lub literatów początkujących, to wpływa niewątpliwie ujemnie na jego poziom artystyczny. Obok omówionej tu, istnieje jeszcze druga, ważniejsza przyczyna niedomogów reportażu. Jest nią nieprzezwyciężenie przez sam reportaż poetyki wyniesionej przez ten gatunek z literatury burżuazyjnej, poetyki zwężającej już w założeniu możliwości poznawcze reportażu, jako formy niezdolnej do oddania całej pełni prawdy o rzeczywistości, umiejscowiającej jedynie notować wydarzenia teże rzeczywistości. Oczywiście nie możemy zaprzeczać, że reportaż nasz w ciągu ostatnich siedmiu lat rozwinął się, że bardzo daleko odszedł od swych przedwojennych wzorów, zmiana ta ograniczyła się jednak prawie wyłącznie do kregu zagadnień tematycznych, poruszania i odkrywania nowych zagadnień, na zmianę istoty reportażu wpłynęły one jednak w stopniu niewielkim. Stanowisko reportażu jako autentyczny, jako opisu zdarzenia, które obserwował, lub o którym słyszał autor eliminuje opis we-

1) Jan Baranowski — „Spółdzielnia nad zieloną wodą” — „Książka i Wiedza” — 1950; Julian Gałaj — „Czarnostów”, Stanisław Pięta — „Wczoraj i dziś”, Teresa Chabowska — „Spółdzielnia produkcyjna Grochów”, Jerzy Pytlakowski — „W Wysoce pod Miechowem”, L. Krasucki — „Zdobycie chłopska”, Adam Tarn — „Zebranie w Piotrkowicach”, Lesław Bartelski — „Kana”, Wiktor Woroszyński — „Witold Zalewski”, Rok wsi i zwycięstw”, Bohdan Czeszko — „Drogi sytyści”, Kazimierz Kojewski — „Co z tego maż?” — „Zofia Dróżdz-Satanowska — „Przyszłość w Kulicach”, Wł Skóra — „Byłem w spółdzielni produkcyjnej”, Tomasz Domaniński — „Książka i Wiedza” — 1951 r.

wewnętrzny przeżyć bohatera jako niedostępny bezpośredniemu doświadczeniu autora. Co najwyżej może to być przytoczenie wypowiedzi samego bohatera na temat swych przeżyć. Zakres dostępny obserwacji pisarza ogranicza się więc w zasadzie do zachowania się bohatera (przypomina to do złudzenia amerykański behaviorizm, niestety jest zasadą i naszymi reportażami). Jest rzeczą jasną, że reportaż nie będzie mógł spełniać roli zwierciadła dokonywających się przemian, nie będzie mógł wytworzyć silniejszej więzi uczuciowej między ukazującym obrazem, a czytelnikiem, dopóki autor jego nie będzie miał prawa do odzwierciedlania na podstawie obserwacji „zachowania się” i wypowiedzi bohatera jego przeżyć wewnętrznych, do nasycenia go ludzkimi uczuciami, do stworzenia z niego podmiotu wydarzeń a nie tylko poruszającego się i mówiącego obiektu.

W praktyce pisarskiej konsekwencje takiego ograniczenia możliwości poznawczych reportażu szły o wiele dalej. Utało się ograniczenie zakresu tematycznego reportażu do spraw działalności bezpośrednio produkcyjnej, ważnych wydarzeń, uroczystości — a więc objawów życia niewątpliwie istotnych, ale nie stanowiących jego całości. Eliminowano z reportażu życie osobiste, domowe, wstydliwe unikano spraw miłości, a więc tematów, które nawet pozostając przy tradycyjnych kompetencjach reportażu mogłyby doskonale oddać.

Na usprawiedliwienie naszego reportażu zaznaczyć należy, że czyni on ostatnio wielokrotnie próby przełamania utartych konwencji. Jedną z tych prób będzie wprowadzenie do reportażu elementów fikcji (Kusmerek, Marian Brandys), służących uwydatnieniu pewnych typowości. Inną drogą poszli ci pisarze, którzy przekraczając utarty zakres tematyczny ukazują prywatne, osobiste życie swych bohaterów. To ostatnie znalazło miejsce w niektórych reportażach.

Będzie to przede wszystkim Woroszyńskiego i Zalewskiego „Rok wsi i zwycięstw”, najlepszy z 14 reportaży *Książki i Wiedzy*. Stawiam go na pierwszym miejscu dlatego, że obok dużych zalet artystycznych i politycznych, nie ogranicza przeobrażeń ogarniających wsi polską tylko do zagadnień produkcyjnych, ale pokazuje jak przeobrażenia te zalamują się w życiu osobistym i świadomości ludzi (epizod Marysi Stefaniuk), że potrafili ukazać wewnętrzne, psychiczne motywy działalności „swych” bohaterów (sprawa Władysława Dudka). Pod tym względem stara się zbliżyć do czytelnika swych bohaterów i Jan Baranowicz w „Spółdzielni nad zieloną wodą” (Staszek Lis, częściowo sprawa Jana Fryga), słabsze jednak pod względem artystycznym i sily agitacyjnej. Inni autorowie rezygnują raczej z prób pogłębiania psychologicznego swych postaci. A szkoda. Bo w dobrych (w większości) pod innymi względami reportażach zwrócenie uwagi na człowieka i jego przeżycia, zbliżyłoby je do czytelnika, uczyniło bardziej humanistycznymi.

Przeczytawszy 14 wydanych przez *Książkę i Wiedzę* reportaży można by posądzić autorów o schematyzm, tak losy wszystkich spółdzielni są do siebie podobne. Byłaby to jednak nieśmiała złośliwość. Dzieje poszczególnych spółdzielni mimo swych specyficznych odchyleń oddają pewną ogólną prawidłowość rozwoju, a obowiązkiem autora jest właśnie owa prawidłowość uchwycić. Pod względem zbliżenia do niej można też wyliczyć ocenę poszczególnych reportaży o spółdzielniach produkcyjnych.

Książka i Wiedza udogodniła badaniom, o ile autor przez selekcję i dobór faktów umie wydobyc ogólną prawidłowość rozwoju, wydając dwa reportaże: z tej samej spółdzielni produkcyjnej w Grochowie — powiat kutnowski. Są to: Stanisław Pięta „Wczoraj i dziś” i Teresa Chabowska „Spółdzielnia produkcyjna Grochów”. Ciekawa jest konfrontacja obu reportaży. Pięta daje w swym utworze rys historyczny Grochowa zaczynając od czasów przedwojennych, kiedy był tu folwark barona Duninowskiego, poprzez reformę rolną, aż do walki o założenie i ugruntowanie spółdzielni produkcyjnej. W tym rysie historycznym sama walka o spółdzielnię wychodzi nieco uproszczona. Za łatwo dochodzi do zwycięstwa spółdzielców, trudnościami wspomina się tylko w deklaracjach. A tymczasem z reportażu Teresy Chabowskiej (zaczynającej akcję od 1949 roku, od pierwszych kroków około założenia spółdzielni) wynika, że w Grochowie borykano się z wieloma i to nie małymi trudnościami. Przede wszystkim reportaż Chabowskiej rzucił na nas szerzej tło klasowe. Pokazuje wzajemne stosunki biedniaka i kulaka (sprawa Garbacz i Kepińskiego) drogi jakimi biedniak, początkowo wrogowie spółdzielni, zahukany przez bogacza i księdza, dochodzi do świadomości, że jego miejsce jest w spółdzielni produkcyjnej. Pokazuje ważną rolę ekip łączności miasta ze wsią i pomocy jaką udzielali grochowiakom kutnowscy kolejarze. Ukazuje, jak już w spółdzielni będą ludzie z trudem dorastali do nowej świadomości, do nowej opartej na kolektywnej pracy i gospodarowaniu moralności. Wszystko to każe utworz Chabowskiej postawić wyżej od Pięta, mimo swych słabych jego zalet i dużego poziomu artystycznego.

(Artykuł dyskusyjny)

Ważną sprawą w reportażu o socjalistycznych przeobrażeniach wsi jest ukazanie trudności, na jakie w swym rozwoju napotykały pierwsze spółdzielnie, oraz dróg wiodących do ich likwidacji. Naiwny optymizm to jeden z najniebezpieczniejszych dla tego typu utworów wrogów. Pod tym względem zasługuje na uznanie Krasuckiego „Zdobycie chłopska”, najlepszy po wspomnianym już „Roku wsi i zwycięstw” reportaż z omawianej przeze mnie serii. Świadczy on dobitnie o tym, że ukazanie wszystkich nawet najdrobniejszych trudności, jakie napotykały w swej pracy spółdzielnie, nie tylko nie przeszkadza pożądanemu optymizmowi bijącemu z całości reportażu, lecz przeciwnie pomaga mu.

Jakże odcina się od takich reportaży, że sięgnie do przeciwnego biegu, słaby i nieprzekonywujący utwór „Zofii Dróżdz-Satanowskiej” „Przyszłość w Kulicach”, niewątpliwie najslabszy reportaż ze wszystkich omawianych. Świadczy on o tym, że nawet na terenie najmniej na t.z.w. „schorzenia wzrostu” podatnego gatunku, jakim jest reportaż, mogą one doprowadzić do wielkich wykształceń. Hurraoptymizm, traktowanie spółdzielców kulików jako skończone idealnych o zakończonym rozwoju ludzi, że z braku miejsca nie omówię już wyraźnych błędów politycznych, niekonsekwencji artystycznych i manierizmu stylistycznego, sprawiają, że reportaż Dróżdz-Satanowskiej staje się pozycją bardzo mało społecznie przydatną.

Inną sprawą jest wykazanie wyższości życia spółdzielni produkcyjnej nad gospodarowaniem indywidualnym, większych korzyści, jakie tu chłop odnosi. Dlatego też wspomnienia chłopu Władysława Skóry „Byłem w spółdzielni produkcyjnej” (literacko opracowane przez Józefa Mortona), oparte na kontrastach między życiem chłopu indywidualnego a rzeczywistością spółdzielczą spełniają dobrze swoją rolę, są eksperymentem literackim w zupełności udanym.

Ze względu na specyfikę formalną wyróżnia się z serii *Książki i Wiedzy* ciekawie skonstruowany reportaż Juliana Gałaja „Czarnostów”, oparty na opowiadaniu sekretarza Komitetu Powiatowego Partii w Makowie - So-

STANISŁAW CIEŚLAK

O trafną i żarliwą publicystykę gospodarczą

W WYNIKU świadomej działalności władzy ludowej, realizującej rewolucyjny program klasy robotniczej i jej partii, rośnie w toku wykonywania Planu 6-letniego nowa, socjalistyczna baza ekonomiczno-techniczna w naszym kraju, toczy się ostra walka klasowa o zdobycie przewagi we wszystkich dziedzinach wytwórczości dla socjalistycznych stosunków społecznych, opartych na współdziałaniu ludzi w procesie produkcyjnym, a wyparci i likwidacji kapitalistycznych stosunków społecznych, opartych na panowaniu, wyzysku i ucisku. Rok 1952, trzeci rok Planu 6-letniego, w którym udział gospodarki socjalistycznej ma wzrosnąć do 73 proc. w tworzeniu dochodu narodowego, jest okresem zasadniczego przełomu w budowie tej nowej, socjalistycznej bazy odpowiadającej okresowi przejścia od kapitalizmu do socjalizmu.

Osiągnięcie tego przełomu wymaga trzech warunków: po pierwsze — dalszego, szybkiego rozwoju sił wytwórczych a więc produkcja przemysłowa winna osiągnąć poziom niemal cztery i pół razy wyższy od poziomu produkcji przemysłowej Polski kapitalistycznej, produkcja rolna — poziom blisko półtora razy wyższy (w obu wypadkach na głowę ludności, zatrudnionej w zawodach poza rolniczych (w liczbach bezwzględnych) — poziom dwukrotnie wyższy, a dziesiątki i setki tysięcy pracowników produkcyjnych w przemyśle, rolnictwie i transporcie muszą podnieść znacznie swe kwalifikacje zawodowe, aby „posługiwać się nie tylko łopatą, ale i buldożerem, nie tylko plugiem ale i kombajnem, nie tylko młotkiem ale i najbardziej precyzyjną obrabiarką”.

po drugie — konieczna jest dalsza, wzmożona ofensywa postępowych sił narodu polskiego, skupionych wokół klasy robotniczej i jej partii, na siły wsteczne, które z uporem i zaciętością bronią dawnych stosunków produkcyjnych, stosunków nie odpowiadających już nowemu stanowi sił wytwórczych naszego kraju;

po trzecie — należy uwiaryścić i wesprzeć te osiągnięcia produkcyjne i przemiany w stosunkach społecznych wielką ofensywą kulturalną, która by przyspieszyła i pogłębiła proces narastania nowej, socjalistycznej nadbudowy, wyrastającej z bazy, ale nie będącej tylko jej biernym odbiciem.

Nadbudowa — uczy Stalin — wyrasta z bazy, ale nie znaczy to, bynajmniej, że jest ona tylko odbiciem bazy, że jest bierna, neutralna, że zachowuje się obojętnie wobec losu bazy, wobec losu klas, charakteru ustroju. Przeciwnie, skoro się zjawia, staje się ogromna aktywna siła, aktywnie dopomagająca swej bazie w kształtowaniu się i utrwaleniu, czyni wszystko, aby dopomóc nowemu ustrojowi w dobie i zlikwidowaniu starej bazy i starzych klas.”

Liczenie na dalszy automatyczny wzrost poziomu sił wytwórczych (bez ciągłej mobilizacji mas pracujących dla wykonania planowych zadań pro-

bieskiego o zorganizowaniu spółdzielni w Czarnostowie, w terenie niezwykle zacofanym, oraz o pracy tej spółdzielni w ciężkich warunkach, jeśli zważy się działające tu jeszcze podziemie. O wiele natomiast słabszy jest — także wyróżniający się ujemnie formalnym — reportaż Adama Tarna „Zebranie w Piotrkowicach”, nie dający zadowalających rezultatów artystycznych, z powodu trudności oddania całej problematyki pracy i walki spółdzielców poprzez przytłumienie jednego zebrania.

Niesposób jest omówić w krótkiej recenzji wszystkich wydanych przez *Książkę i Wiedzę* reportaży. Dlatego też ograniczyłem się do wspomnienia utworów wyróżniających się dodatnio lub ujemnie, czy przez ciekawe ujęcie artystyczne. Wszystkie one prowadzą do jednego podstawowego stwierdzenia natury już ekonomicznej. Jest nim fakt, że elementem spośród którego rekrutowali się pierwsi spółdzielcy to w 90 proc. dawna służba folwarczna, która własną ziemię uzyskiwała dopiero z reformy rolnej, oraz osadnicy na Ziemiach Odzyskanych (dawni członkowie spółdzielni parcelacyjno-osadniczych, które na tych terenach powstawały już od 1946 r.). W jednym wypadku (Tomasz Domaniński „Nowa Ziemia” — o spółdzielni im. Józefa Polki w Wojszycach) będą to repatrianci z Kanady. Wszyscy są ludźmi w warunkach dzisiejszej wsi wyjątkowo uświadomionymi politycznie, stykającymi się z ruchem robotniczym jeszcze przed wojną. Mieli oni dobre przygotowanie polityczne do podjęcia walki o socjalistyczny przebudowę wsi. Z drugiej jednak strony spotykali się ze znacznie większymi trudnościami ekonomicznymi (brak sprzętu, własnych mieszkań, słabe zagospodarowanie) niż chłopci, którzy dzisiaj zakładają spółdzielnie produkcyjne.

Rzucenie na rynek księgarski przez *Książkę i Wiedzę* reportaży o walkach i zwycięstwach pierwszych naszych spółdzielni produkcyjnych dzisiaj, kiedy mamy już ponad 3 tysiące spółdzielni i kiedy dowiadujemy się o powstawaniu w kraju setek nowych komitetów założycielskich, spełnia niewątpliwie ogromnie ważne polityczne zadanie.

Janusz Maciejewski



Foto C.A.F.

TEOFIL KOWALCZYK

LIST CHŁOPA — INWALIDY DO KOMISJI KONSTYTUCYJNEJ

Ja, Wnęk, chłop na dziesięciu morgach, pozdrawiam was, towarzysze. W czterdziestym piątym służyłem w czolgach i pod Świerczewskim parłem za Nysę.

Pod Dreznem w czolg mój — pocisk uderzył. Ledwie ze życiem uszedłem cało. Lecz nogę sztywną mam. Pół twarzy po oparzeniu mi zostało.

Zalować? Płakać? —

Anim nie pisań!

twardy jak stal

jest polski naród.

Walter w szpitalu

rękę mi ścisnął.

Był wieczer.

W okna mrók syjał szary.

Dziś przeczytałem projekt — do deski.

L... wilgoć w oczach

i coś... jak piasek...

Jakby się cieszył Walter-Świerczewski

z tych praw,

meji doli

i takich czasów!

Żyje.

Oddycham wreszcie jak człowiek.

Mam dom, a w polu szeleści zboże.

Koń jak smok w stajni.

W oborze krowy.

W izbie śmiech dzieci mądrych i dużych.

A dawniej? —

Machnął już lepiej ręką.

Dziś — inni ludzie. Dobrzy i dzielni.

By lepiej było jeszcze i

piękniej

do produkcyjnej

wstępuje spółdzielni.

Szkoda, że ojciec... Pomarł już, stary...

Nie dożył.

Widzę w krwi jego głowę.

Za to, że chciał mieć

prawo do pracy,

chleń jak ja

— zginął pod Łapanowem.

A matka? — Dwór ją wygnał z czworaków.

W mróz. W śnieg. Pamiętam, parzyło w palce.

A niby równość była.

Szlismy pod Kraków

Siostra umarła na rękach matce.

Hej, złość podchodzi aż do gardła!

Knucę wróg — bankier.

Obszarnik marzy.

Zabił ojca Siostra umarła.

Lecz ja mam jeszcze pół zdrowej twarzy!

Gdy czytam projekt — wiem czego trzeba:

na traktor — jak w czolg —

i dalej w pole!

Wróg by mi pragnął

wydrzeć kęs chleba. —

Lecz jeszcze jedną mam zdrową nogę!

Wam, towarzysze,

spod Wrocławia

salutuję — jak kazał w służbie generał.

Część to prawo, bom uniósł głowę z bezprawia.

Żyje w blasku, za który ojciec umierał.

Partia uczy.

Uczy, Świerczewski.

Za tę Konstytucję pójdę na ostre!

Nie wydrą mi jej. Nie wydrą już Polski!

Mojej i ojca,

i matki,

i siostry.

Teofil Kowalczyk

JULIAN STAWIŃSKI

Wyrok przekreślający konstytucję

KONSTYTUCJA Stanów Zjednoczonych powstawała w tym samym czasie, kiedy w Polsce związany w nieustającą konfederację, przedostatni Sejm Rzeczypospolitej obradował nad środkami naprawy i ocalenia państwa. Nad Filadelfię i Warszawę nadlatywały już pierwsze podmuchy orkanu motającego Francję, wstrząsy podziemne, od których miała zawaść się zmuszać budowa feudalizmu. Ziemia polska była jednak nabytą zeskoriowaną. Sejm Czteroletni nie zdołał odrobić zaległości bez mała trzech wieków. Dziewięć, na kolonizację oczekująca, rola amerykańska poddała się przelotu siew myśli demokratycznej i republikańskiej. Choć i tam zdrowe ziarno zaściemlił wrogowie postępu, ale upłynęło całe niemal stulecie zanim spaść się zaczął z kłosew złowieszczy proch. Tak więc na dwóch krańcach świata narodziny sprzędzy się ze śmiercią. Pięćni jakobinów unosiły się nad kołyską przyszłego olbrzyma i ciemięży ludów, gdy z drugiej strony Atlantyku, gdzie w dalekości Europy Wschodniej rozlegały się pienia zabójne za Rzeczpospolitą Szlachęką.

„Twórcy Rewolucji wychodzili z dwóch podstawowych założeń suwerenności ludu i równości... — pisał znawca prawa konstytucyjnego, prof. Janusz Bryce i dodaje, przechodząc do zagadnień związanych z uchwaleniem ustawy zasadniczej Stanów Zjednoczonych — w latach 1787—89 — przekształcał konfederację w ustroj federalny. Związał społeczność w naród, a naród w państwo przez nadanie konstytucji”. Brzmio to podniosło i pięknie. Co więcej, każde z tych zdań z osobna zawiera sporą dozę prawdy. Nie można ich jednak czynić ogniwami jednego łańcucha myślowego, nie można kłaść znaku równania między rewolucyjną walką ludu amerykańskiego, a zamkniętym conclave filadelfijskiej konstytuacji, gdzie przewagę zdobyła sobie kontrofukcja i zwycięstwo swe szybko przybiła do kształtu instrumentu prawnego.

Dopiero burzliwy sprzeciw wolnych jeszcze a jednoczących się stanów narucił Ojcom-Założycielom. Tzw. Poprawki, liberalizujące uchwaloną przez nich ustawę. Już sam stosunek liczbowy jest tu znamienity: pierwotnych artykułów konstytucji było 7, poprawek zaś — 10. Pamiętajmy, że prawdziwie wolnościowe były tylko konstytucje poszczególnych stanów. Powstawały w ogniu wojny, kiedy suwerennych praw ludu i zasad równości nikt kwestionować nie śmiał, kiedy śpieszącym pod sztandary wojenne farmerom i wyrobnikom miejskim nikt nie odważał się zaprzeczać głosu w urzędowaniu własnego kraju. Inaczej było z konstytucją federalną. Uchwalali ją delegaci stanów, z dala od wejść farmerskich i robotniczych, a za to pod czujnym okiem kupców i spekulantów z wybrzeża, plantatorów z glebi lądu. Uchwalono ją pod nieobecność autorów rewolucyjnej Deklaracji Niepodległości, Jeffersona i Adamsa, odbiła się na niej fala reakcji powojennej, żerującej na powszechnym pragnieniu stabilizacji, pragnieniu wydobycia się z odmiętów trudności gospodarczych, wywołanych przez wojnę i usamodzielenie się kraju.

Głównym autorem konstytucji był Aleksander Hamilton, prawnik, monarchista o reakcyjnych poglądach, związanych z prawym skrzydłem kapitalizmu. Był to człowiek niewątpliwie utalentowany, wykształcony i dalekowszycy. Zdawał sobie sprawę, że rozwojowy kapitalizm odpowiada najbardziej państwu jednolite, scalone pod względem form gospodarki i prawnych, rządzone centralistycznie i przy silnym rządzie państwa kontrolującym szybko urastającą w potęgę klasę kapitalistyczną. Dla pozyskania wielkich obywateli konstytucja na nowo legalizowała niewolnictwo obalone, w zasadzie przynajmniej, jeśli nie w praktyce, przez Deklarację Niepodległości. Jak się wyraził Engels, „zniesiono przywileje klasowe, usłono rasowe”.

Nowa konstytucja nie znalazła uznania w oczach legislatur stanowych. Znaczące wpływy mieli w nich farmerzy liberalni, a nawet radykalni. Ci domagali się demokratyzacji fundamentalnej ustawy. Plantatorom odpowiadała jej reakcyjność, ale nie centralizacja. Ostatecznie przyjęto 10 artykułów dodatkowych, zwanych „Kartą Praw”. Z bieżącym lat uzupełniono je dalszymi 10 Poprawkami. Tak powstała obowiązująca dziś konstytucja, złożona z przepisów w znacznej części ramowych i na tyle ogólnikowo ujętych, że pozwalała na zmianę w szerokim zakresie interpretacji, zależnej od woli tych, którzy dźwierzali faktyczną władzę w państwie. Jest to jedna z przyczyn, dla których bezprawie, było dość potężne, tak łatwo przedziurawić się w USA w nieylkalną światłość opromienioną majestatem prawa.

Drugim powodem jest nieodpowiedzialność, jaką obdarza konstytucja władzę wykonawczą. Rząd Stanów Zjednoczonych nie jest rządem parlamentarnym. Ministrowie odpowiadają jedynie przed prezydentem, ten zaś jest nieusuwalny, chyba w trybie procesu o zdradę stanu. Wszelkiewadze prezydenta, która jest najbardziej znaczącym rysem konstytucji, ogranicza wyłącznie prawo uchwalania, a więc i odmawiania kredytów, przysługujących kongresowi. Ale kongres to twór machiny partyjnej, podobnie jak mieszkaniec Białego Domu. A w jeszcze wyższym stopniu tworem machiny partyjnej jest federalny aparat sądowy. Sędziów dożywotnio mianuje prezydent, zatwierdza senat, lecz wyznacza machina bez uciekania się nawet do formalności wyborczych. Jądem zaś partii jest pieniądź, wola — interes tego, kto dysponuje

pieniądem. Piękne słowa Lincolna o „władzy ludu, przez lud i dla ludu” zachowano w rekwiwiztorjach obu stron. Zwiększo tylko pojęcie ludu do tych, którzy mają większość głosów na zgromadzeniach akcjonariuszy trustów i koncernów. Tak zasadę większości rozumie dzisiejsza Ameryka.

John Marshall był w młodszych latach żołnierzem armii rewolucyjnej. Widział z bliska niedolę wojsk i trudności kampanii, trudności wytęczenia drogi polityki państwa z racji bierności i biesiły Kongresu Kontynentalnego, egoizmów lokalnych poszczególnych stanów, działania sił odśrodkowych po odplywie centralistycznej sieci władz angielskich. A potem oglądał zamęt gospodarczy, wywołany zerwaniem jednych więzi i nienawianiem nowych i przeraził się buntem farmerskim przeciw dławiącej ludność uboższą władzy pieniądza. Aż federalnych wojsk trzeba było wywołać na pomoc posiadaczy przeświełnego stanu Massachusetts, od których zrewoltowane pod wodzą Daniela Shaysa pospółstwo zażądało ofiar z majątku na rzecz ulżenia niedoli ogółu. Ale choć sam z gminu się wywodził, z postrożętych swych wysnuł wnioski stawiające go w rzędzie najcięższych szermierzy reakcyjnych idei Hamiltonowych. W roku 1801 został Sędzią Głównym Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych i oddał przez lat 34 kierował organem naczelnym wymiaru sprawiedliwości, niezmordowanie wcielając te idee w życie.

Uchwalając akt Konstytucyjny i Kartę Praw, nie zawarował ustawodawca, kto ma być aktów tych interpretatorem. Wskazał tryb zmiany — uchwałą dwóch trzecich obu izb, zatwierdzoną przez dwie trzecie legislatur stanowych — ale nie wykladni. I oto już w drugim roku swego urzędowania John Marshall, imieniem trybunału, któremu przewodził, uroczysto ogłasza w niezaskarżalnym wyroku, że prawo wykladni „skodyfikowanej woli narodu” należy wyłącznie i jedynie do Najwyższej Ławy Sądowej państwa. Konstytucja — wywodził Marshall — ogranicza władzę Kongresu, stoi ponad Kongresem. Sędziowie powołani są do stania na straży prawa i praworządności. A zatem oni tylko władni są orzekać, czy jakiś akt, lub przepis jest w zgodzie, lub jest pogwałceniem fundamentalnej ustawy kraju. W toku instancji w sposób ostateczny stanowi o tym Sąd Najwyższy USA.

Marshall jednak poszedł jeszcze dalej. Sądowi Najwyższemu przypisał nie tylko prawo badania zgodności ustaw i aktów władzy wykonawczej z konstytucją, ale i rozstrzygnięcie w sposób przez nikogo nie kontrolowany, rozstrzygnięcie według własnego swobodnego uznania o najskrajszych intencjach twórców konstytucji, o trafności i celowości ich sformułowań. W praktyce oznaczało to możliwość zmiany ustawy zasadniczej, zmiany fundamentu budowy państwowej drogą zwykłego, a niezaskarżalnego orzeczenia sądowego. Konstytucja — głosił Marshall — jest ponad Kongresem. A ponad konstytucją stawał Sąd Najwyższy. Było to ciało najbardziej w państwie reakcyjne, złożone z sędziów nieusuwalnych i nieodpowiedzialnych. Teraz, dzięki marshallowskiej doktrynie, przemienili się ze strażników prawa i praworządności w czynnik polityczny, potężny instrument wstecznicstwa, obojętny na wolę ogółu, gdyż od niej niezależny, zależny natomiast od własnych subiektywnych poglądów i sympatii, czyli poglądów i sympatii środowiska burżuazyjnego, z którego się rekrutowali i w którym się obracali. Nie stanowili kolegium „dziesięciu sprawiedliwych”, a jeśli się tak wśród nich zdarzył — mógł tylko dać świadectwo prawdziwe, własnej odwadze i uczciwości oraz zapamiętaniu, z jakim jego koleży depali prawo zamiast czuwać nad jego nieetykalnością.

Tezy Marshalla wywołały oburzenie i gwałtowny sprzeciw ze strony całego obozu postępu. Jefferson, którego słów nie lubią przytaczać, lecz którego autorytetem lubią się osłaniać dzisiejsi manipulatorzy „demokracji” amerykańskiej, ostrzegł z najwyższym niepokojem, że jeśli doktryna Marshalla jest słuszna — „wówczas zaiste nasza konstytucja jest całkowitym felo de se (samozniszczeniem). Albowiem zamierzając ustanowić trzy władze, skoordynowane a niezależne, aby nawzajem się kontrolowały i równoważyły, udzielił, zgodnie z tą opinią, jednej z nich, i wyłącznie jednej, moc stanowienia zasad rządzących pozostałymi, i to tej właśnie, która, nie wybrana przez naród, jest od narodu niezależna... Konstytucja byłaby w takim razie woskiem w rękę sędziów, ugniatanym przez nich w kształt, jaki im się spodoba jej nadać. Należy pamiętać, jako wiekiści pewnik prawdy politycznej, że wszelka władza rządowa niezależna od nikogo, jest przez to absolutna... Sąd niezawisły tylko od króla, czy władzy wykonawczej, jest rzeczą dobrą; ale niezawisły od woli narodu jest sołecyzmem (podstawowym błędem) przynajmniej w republikańskiej formie rządu”.

Ale Marshall miał możnych protektorów. Jego doktryna utrzymała się i zaciążyła nad całą historią USA. Pominięto całe orzecznictwo Marshalla, dotyczące zagadnień dawno przebrzmiałych. Ograniczmy się do dwóch spraw najdonioślejszych w życiu Ameryki — niewolnictwa i faszystów. Jedną rozstrzygała się bez mała przed stu laty, drugą toczy się dzisiaj.

W marcu 1857 przewodniczący Sądowi Najwyższemu sędzia Taney obwieścił, że wszelkie akty Kongresu i układy między państwami, ograniczające niewolnic-

two do stanów południowych są z mocy prawa nieważne zaś Kongres nie jest władny zakazać uprawiania niewolnictwa na żadnym obszarze. Był to słynny proces Dred Scotta, pierwszy strzał wojny domowej. Epilog nastąpił dziesięć lat później w postaci uzupełnienia ustawy zasadniczej artykułami XIII, XIV i XV.

Gwałt prawa był oczywisty. Taney usiłował zachować cień legalizmu i respektu dla konstytucji przez upozorowanie wykladni rozszerzającej. Tak Hitler osłaniał się pozorami, gdy fałszował wybory przed objęciem władzy, a potem fingował proces o pożar Reichstagu przed skasowaniem praw obywatelskich. Epoka Trumanowa poszła dalej. Przebiegnęła nie tylko Taney'a, ale i Hitlera. Nie nadaremnie Ameryka jest krajem rekordów. W Rzeszy hitlerowskiej Sąd Najwyższy uniewinnił Dymitrowa, a fuhrer musiał mu pozwolić na opuszczenie Niemiec. Truman nie ma podobnych kłopotów. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nie kępuje się ani szacunkiem dla norm prawnych, ani względami na normy etyczne. Z konstytucją obchodzi się tak, jak przewidywał Jefferson: ugniatą na wosk, a zbyte kawałki wyrzuca na bruk Alei Konstytucji przebiegającej w pobliżu klasycznego frontonu jego majestatu sędziów.

W czerwcu 1951 faszystyczna USA była daleko posunięta. Faszystyzacja niemożliwa jest jednak bez odebrania narodowi swobody słowa, prasy i zgromadzeń. Pierwsza Poprawka Konstytucji, czyli art. I Karty Praw, stanowi wyraźnie, że „Kongres nie jest władny uchylać żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy oraz prawa ludu do spokojnych zgromadzeń”. Lecz Kongres tak właśnie ustawę — tzw. Smith Act — uchwalili, a Sąd Najwyższy, rozpatrując sprawę 11-tych przywódców komunistycznych oskarżonych o jej naruszenie, wyrok skazujący zatwierdził, ustawę utrzymał w mocy i przekreślił przepis konstytucyjny. Przy ferowaniu orzeczenia sędzia Hugo Black nalożył votum separatim. Ten dokument to snop jaskrawego światła.

„Na wstępie — mówił sędzia Black — pragnę podkreślić czym jest, czym zaś nie jest przestępstwo, o które chodzi w tej sprawie. Potenci (komuniści) wnoszący odwołanie nie byli oskarżeni o usiłowanie obalenia rządu. Nie byli oskarżeni o żadne czyny zmierzające do obalenia rządu. Nie byli nawet oskarżeni o żadną wypowiedź słowną czy piśmenną zmierzającą do obalenia rządu.

Zarzucono im, że postanowili gromadzić się, wypowiadać i ogłaszać pewne idee w terminie późniejszym; oskarżenie brzmiało, że spiskowali w celu utworzenia Partii Komunistycznej i użycia w przyszłości mowy, lub czasopism, i innych publikacji dla głoszenia i propagowania obalenia rządu przemocą.

Bez względu na to jak to zostało ujęte, jest to jaskrawa postać cenzury prewencyjnej słowa i prasy, której, uważam, Pierwsza Poprawka zabrania. Uważam część 3 ustawy Smitha, wprowadzającą to prewencyjne ograniczenie za niekonstytucyjną zarówno w brzmieniu jak i zastosowaniu.

Przyjmijmy jednak, wbrew wszelkim konstytucyjnym pojęciom o należytych postępowaniu karnym, że potęci, jakkolwiek nie oskarżeni o przestępstwo rzeczywistego nawoływania, mogą być jednak za nie ukarani. Nawet przy tak radykalnym założeniu, jedynym sposobem zatwierdzenia wyroków, jak na to wskazuje votum separatim P. Sędziego Douglasa, jest drastyczne ograniczenie, lub też zupełne odrzucenie ustanowionej zasady „oczywistego i bezpośredniego niebezpieczeństwa”. To właśnie czyni sąd w sposób niezmiernie ograniczający ochronę, jakiej udzieli Pierwsza Poprawka.

Dla założycieli naszego narodu jednako, dobrodziejstwa płynące ze swobody wypowiedzania się warte były podkreślenia. Wielu ich pogląd w nakazie Pierwszej Poprawki, czy Kongres „nie uchyla żadnych ustaw ograniczających wolność słowa i prasy... „Zawsze byłem zdania, że Pierwsza Poprawka jest kamieniem węgielnym naszego ustroju, że wolność, jaką zapewnia, jest najlepszą rękojmią przeciw zniszczeniu wszelkiej wolności”.

Wład długi ten trybunał sprawuje jednak prawnej rewizji ustawodawstwa, nie może się zgodzić, by Pierwsza Poprawka pozwalała nam na utrzymanie w mocy ustaw zawieszających wolność słowa i prasy tylko na podstawie pojęć Kongresu, czy też naszych własnych o tym co „słuszne”. Taka doktryna rozmywa Pierwszą Poprawkę tak dalece, że staje się mało czym więcej jak zaleceniem dla Kongresu.

Tak ujęta Poprawka nie może chronić żadnych poglądów poza „bezpiecznymi” czy ortodoksyjnymi, które ochronę jej rzadko potrzebują. Gdy opinia publiczna jest taką jak teraz, niewiele będzie protestować przeciw skazaniu tych komunistów. Istnieje jednak nadzieja, że w czasach spokojniejszych, gdy obecne naciski, pasje i lęki zaciechną, ten, czy też inny trybunał przywróci wolnościom Pierwszej Poprawki wysoki i dostojny miejsce, jakie im się należy w społeczeństwie wolnych”.

Tyle sędzia Black. Dla uzupełnienia warto jeszcze przytoczyć słowa sędziego Jacksona, który przyłączył się zresztą do decyzji zatwierdzającej orzeczenie niższych instancji. „Nie wierzę w jakiś trwały skutek tego wyroku. Nie wierzę, by mógł powstrzymać wzrost ruchu komunistycznego w Ameryce. Komunizm nie znajduje się w więzieniu razem ze skazanymi komunistami”.

Julian Stawiński

ZBIGNIEW NOWICKI

DZIEŃ LĘKU*)

W dniu 2 maja 1892 r. wybuchnął w Łodzi strajk powszechny. Przerazeni, kapitaliści zebrał się na naradę w Grand Hotelu.

Do Grand Hotelu, na oficjalne zebranie przemysłowców, na które przybył mial podobno gubernator Miller, ostatni przyjechał swym powozem jeden z największych potentatów bawelińskich, Karol Kellermann.



Dzięki niedyskrecji jego szwagra Töplera, prawie wszyscy fabrykanci Łodzi wiedzieli już o mistycyzmie Kellermanna, o zakurczonym pokoju jego najmłodszego, tragicznie zmarłego syna, o owym obrazie Brueghla, z którego wróżył mu syn o przyszłych dziejach rodziny. Ciekawo więc wszystkich jak Kellermann przyjął robotników w swej wielkiej fabryce. Byli przekonani, że przyjeździe przerażony i powita ich przepowiadającym im upadku tak, jak to zrobił wobec Töplera.

Tymczasem Kellermann przyjechał do Grand Hotelu elegancki, ubrany na ciemno, z cieniutką laseczką i w wysokim cylindrze, jak zwykle zachowywał się wobec reszty fabrykantów i niespodziewanie poparł stanowisko Izraela Poznańskiego, który uważał, że w żadnym wypadku nie wolno godzić się na żądania robotników.

Izrael Poznański był uradowany. Odcignął Kellermanna w róg hotelowego hall'u i szepotał mu z uprzejmym uśmiechem:

— Panie Kellermann, pan jesteście prawdziwym fabrykantem. Co to znaczy skrócić dzień pracy? Co to znaczy dać podwyżkę piętnastu procent? Ja wiem co to znaczy. To znaczy, panie Kellermann, stracić majątek. Pan wie, dlaczego Stiller i Bielszewski chcą już o osiem procent podwyższyć stawki swoim robotnikom? Bo u nich jest pilne zamówienie odeskich kupców. Ale oni nie wykonają zamówienia, bo my nie zgodzimy się podnieść stawek nawet o jeden procent. U nas w magazynach jest dość barachnu. Oni nie wykonają zamówienia to odeskie kupcy przyjdą do nas. No nie, panie Kellermann? — cieszył się, ciskał z zadowolenia i zacierał ręce jakby miał w nich już przed chwilą zamówienie odeskich kupców. — A pan się nie boi. Strajk jest, strajk nie będzie. Przed godziną wysłaliśmy depeszę do samego warszawskiego generał-gubernatora Hurki. My będziemy mieli wojsko. — Wyciągnął z kieszeni pamiątkę kartkę papieru.

„Trzydzieści tysięcy robotników rzuciło pracę i zmusza pozostałych do strajku, skutkiem czego grozi najwyższe niebezpieczeństwo. W imieniu wszystkich proszę najpokorniej Waszą Ekscelencję o nieodwołanie koniecznej, bezzwłocznej pomocy. Szajbier, Poznański”.

— Szajbier, Poznański — rozkoszował się tymi dwoma nazwiskami. — No myślę, że ta depesza wystarczy. A pan co myśli, panie Kellermann? — Dział będzie z nami rozmawiał gubernator Miller....

Kellermann milczał. Denerwowała go drapieżna chciwość Poznańskiego, który nie tylko nie chciał podwyższyć głośnych stawek swych robotników, ale równocześnie zamierzał kupić olbrzymie plantacje bawelny w Turkmenii i zamierzał odebrać zamówienie innemu fabrykantowi. Po chwili milczenia odezwał się znowo:

— Ze Stillerem i Bielszewskimi robić panu się podobają. Ale mnie to tego szwindlu proszę stanowczo nie mieszać. Robotnikom swoim nie podnoszę stawek, bo mi na to nie pozwala... No! Powiedzy, panie fabrykanta. Majątku na tym bym nie stracił, bo mój majątek jest duży. Tak, duży, panie Poznański.

Gęste brwi Poznańskiego podniosły się do góry. Chciał zakląć, ale dość szybko mimo wściekłości uświadomił sobie, że rozmawia ze swym największym konkurentem i jednocześnie jednym z największych fabrykantów. Spróbował się uśmiechnąć.

— Czy ja powiedziałem, że nie mam honoru? Pan jest Niemiec, to pan możecie mieć honor, a ja jestem Żyd, to ja już nie mogę mieć honoru? Ja też mam duży majątek, ja też mogę stracić. Ja wybuduję swolennym robotnikom szpital. Nawet skoczę do niego, jak do szpitala. Ja szkołę, panie Kellermann, też wybuduję.

Ale Kellermann szedł już na spotkanie Szajbiera, który wychodził właśnie z hotelowej restauracji. Obok Szajbiera szedł gruby, czerwony na twarzy Stiller, młody, wytworny Rozenblatt, Hirsberg i Biderman.

— Przedstawiam panu stronnictwo ugodowe — powitał Kellermanna wytworny Rozenblatt.

— To jeszcze nie wszyscy — pośpiesznie dodał Szajbier. — Jeszcze za wnioskiem Stillera***) jest także Richter i Manaberg.

— A ja przeciw — powiedział Kellermann.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które przerwał Rozenblatt.

— Panie Poznański — zwrócił się do podchodzącego do nich Izraela Poznańskiego. — Nie pilnowaliśmy pana przez pięć minut i już złapał pan nowego stronnika. I to jeszcze jakiego. — Kellermanna.

— Panie Rozenblatt młodszy — odezwał się poważnie Poznański. — Pański starszy brat Szaja jest od pana mądrzejszy. On jest fabrykant tak jak pan Kellermann i ja. My jesteśmy fabrykantami. My mamy swój honor. Nam nasz honor nie pozwala podnieść robotnikom stawki o piętnaście procent. O osiem procent też nam nie pozwala. No nie? — zwrócił się do Kellermanna jakby przed chwilą nie między nimi nie zaszło.

Kellermann skinął głową. Szajbier zmarszczył czoło jakby zastanawiając się, czy z powodu zgody na podniesienie stawek robotnikom o osiem procent i skrócenia czasu ich pracy przestał być fabrykantem. Ale wiedząc, że Kellermann przeszedł pięć tysięcy robotników fabryce, bo czoło mu się wygięło. Rozenblatt uśmiechnął się drwiąco. On jeden zdawał sobie w pełni sprawę z cynizmu słów Poznańskiego. Nie mogło być mowy o honorze tam, gdzie cała sprawa szła o zyski lub straty. Golowymi do ugodz fabrykantami nie kierowało także współczucie dla nędzy robotników. Szajbier chciał podwyższyć stawki o osiem procent i skrócić swym robotnikom czas pracy, bo obawiał się, że jak kiedyś jego ojcu, rozpaczeni kłaczce mogą jemu porobić maszyn.

A reszta: Richter, Hirsberg, Manaberg, Biderman i on, Rozenblatt, mieli po prostu pilne zamówienia. Chodziło nie o honor, a o kwestię zarobku.

— Pański młodszy brat też jest w moim stronnictwie — zwrócił się do Bidermana Poznański. — I Gajer. I Kunicer.

— Gajer jest tutaj? — zapytał Kellermann.

— Tak. Na gorze, w malej sali.

Kellermann, a za nim część fabrykantów ruszyła wolno po schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Na półpiętrze Rozenblatt przytulił się do podchodzącego z góry Teczewskiemu. Dziennikarz, którego złośliwe listy z Łodzi zamieszczano w warszawskim „Przeglądzie Ilustrowanym” budziły gwałtowne fale protestu ze strony fabrykantów łódzkich i mieszczan, był dziś wyjątkowo trzeźwy. Rozenblatt był także złośliwy i lubił złośliwych, niechętnych się z ludzką opinią. Z prawdziwą przyjemnością odczytywał kolejne fragmenty „Miasła niekochanego”, korespondencji z Łodzi, w której odnajdywał dosadną charakterystykę „łódzierników”, znających fabrykantów, specjalistów od pożarów i pobierania asekuracji, podpalaczy i spekulantów.

— No cóż? — zaczęli dziennikarze. — Widzi pan co się dzieje w tym „mieście niekochanym”? Kochana ta Łódź, kochana...

— O tak. Bo pan dobrze na niej zarabiasz. — Odciał się dziennikarz.

— Zarabiam? Ja teraz stracę przynajmniej pół miliona rubli.

— Zdaży pan to sobie odbić. Na skórze robotników.

— Tak pan przypuszcza? Ja lubię robotników.

— Bo można ich łupić ze skóry.

— Nie tylko. Przypuszczam, że mają rację...

— Coś podobnego!

— Tak. Tylko ja chcę, żeby oni mieli rację po cichu, a ja głośno. — Parsknął śmiechem zadowolony ze swego dowcipu. — Pana oczywiście raduję niezmiernie bunt robotników?

— Nie. O wiele więcej raduję mnie przestrasz fabrykantów

— Czy ja się boję? — zapytał Rozenblatt.

— Zapewne z nadmiaru odwagi uciekł pan tylnym wyjściem ze swego palacu, gdy przyszli do pana robotnicy z żądaniem podwyżki?

— Nie chciałem im robić przykrości osobistą odmową. — Powiedział Rozenblatt i szybko pojechał się z dziennikarzami. Na myśl, że może w następnym fragmencie „Miasła niekochanego” odnajdzie wzmiankę o swej ucieczce przed robotnikami, rumieniec wypłynął mu na blade policzki.

W fatalnym humorze wszedł do sali, gdzie zebrał się łódzcy przemysłowcy.

W miękkich fotelach wokół prostokątnego stołu siedział jego starszy brat Szaja Rozenblatt, młodszy Biderman, Poznański i Szajbier. Kellermann z Gajerem stali pod wysokim oknem. W rogu pokoju kłóciła się głośno grupa fabrykantów: Richter, Manaberg, Kunicer, Hirsberg i starszy Biderman. Za Rozenblatem weszło do pokoju jeszcze kilku przemysłowców: Stiller, Bielszewski, Hentzschel, Samuel Kon, Moric Princ i Hofmut.

Poznański podniósł się natychmiast z fotela i podbiegł wypytując.

Nie nowego — wzruszył ramionami Samuel Kon. — Stangło jeszcze kilkanaście fabryk. O ile wiem, Krügera, Majerhofa, Joba, Eizenbrauna, Stiltida, Ratego, Szulca, Stephanusa i Geldnera.

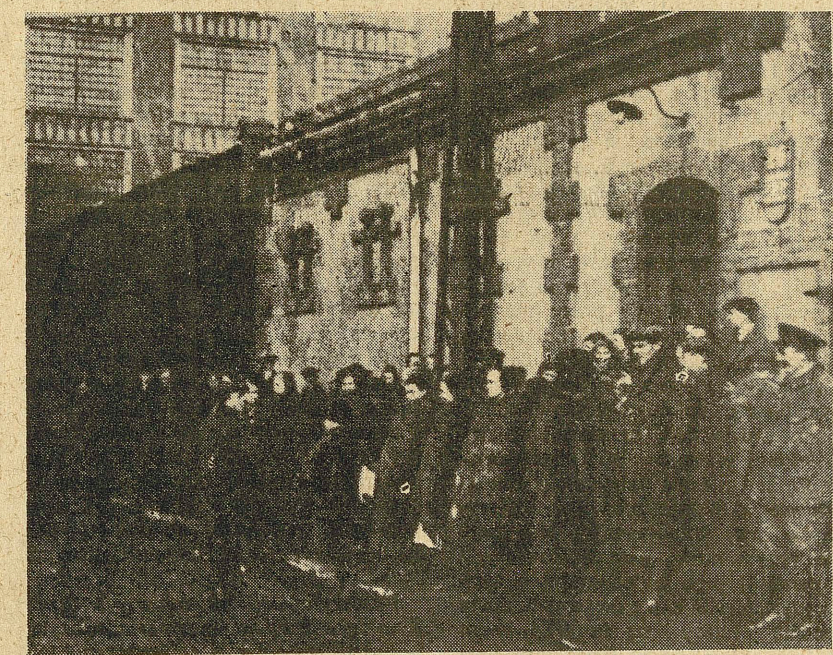
— A moja idzie. Idzie i będzie szła — śmiał się Izrael Poznański.

— Idzie. Przed paroma dniami Maszyn****) wybił po gbie twoich robotników to i nie chcą teraz strajkować — powiedział Hofmut. — Ale to niedługo. Inni zmuszą ich na pewno do strajku. Obawiam się poważnie, że będziemy oglądali rzeczy, o których nam się nawet nie śniło.

— Tylko nas nie strasz. Sam się boję, ale nas nie strasz — wymachiwał rękami Poznański.

Drzwi do pokoju otworzyły się gwałtownie.

— Proszę panów. Jego Ekscelencja Piotrkowski, gubernator Konstanty Miller — oznajmił wyniosłe kapłany od złotych naszywek carski oficer.



Przemysłowcy podnieśli się z foteli. Energicznie, wojskowym krokiem weszli do pokoju gubernator Miller. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę, skłonił głowę w stronę fabrykantów, podszedł do stołu i zajął podsunęty mu fotel. W pokoju trwało wyciekające milczenie. Gubernator odebrał teczkę od towarzyszącego mu urzędnika i nie zwracając pozornie uwagi na otaczających go ludzi, zaczął przeglądać papiery.

Tyle razy strajkując się w łóżce obrońcy robotników krytykował postępowanie fabrykantów, tyle razy upokarzał ich, dawał im odczuć swą niechęć, że teraz nie wiedział naprawdę jaką wypad mu zająć wobec nich postawę. W każdym razie nie szkodził upokorzyć ich raz jeszcze, raz jeszcze dać im do zrozumienia, że ich krociowe fortuny niczym są wobec funkcji gubernatorskiej i jego arystokratycznego pochodzenia. Starannie złożył teczkę z papierami.

— Taaak... — Powiedział przeciągając słowo i już miał zacząć długie, wykwintne zdanie, w którym chciał zważyć na fabrykantów całą winę za wywołanie strajku, ujęć się za robotnikami i w końcu zdania zapewnić jednak fabrykantów o swej łaskawości, gdy do pokoju wszedł jakiś urzędnik niosąc mu depeszę od warszawskiego generał-gubernatora Hurki.

W depeszy, warszawski generał-gubernator, polecił Millerowi, aby ten nie zmuszał do pracy strajkujących robotników, natomiast karał tych, którzy przeskakują pracować innym. W razie rozruchów wśród robotników radził przywrócić natychmiast porządek przy użyciu broni śnieżnej i palnej. Poza tym Hurka wyraził nadzieję, że fabrykanci nie będą czynili robotnikom żadnych ustępstw.

— Taaak... — składając depeszę rozpoczął znow gubernator Miller. Ale tym razem powiedział inaczej, niż zamierzał poprzednio.

Zbigniew Nowicki

*) Fragment opowieści o buncie robotników łódzkich w 1892 r.

**) Depesza jest autentyczna.

***) Stiller dał wniosek ugody z robotnikami.

****) Oficer żandarmerii.

ANDRZEJ SKIBA

O JEDNOŚĆ, WOLNOŚĆ I GODNOŚĆ LUDZKĄ

7-ma rocznica wyzwolenia narodu niemieckiego

JEDNA z ostatnich wizyj po-
żegnanych przed wyjazdem
do USA złożył Eisenhower
swemu wiernemu współwyz-
nawcy politycznemu — Ade-
nauerowi. Było i przyjęcie—
cieple i serdeczne — z udziałem Mac
Cloya. Były i wypowiedzi dla prasy
— ale choć krótkie, mistyczne, w
swoim braku konkretnej treści. Kon-
dydat na gromowładę waszyngton-
skiego Olimpu rozpoczął kampanię
prezydencką.

W Bonn? Właśnie w Bonn. Różne
bywają spłoty i zależności wydarzeń.
„Układ ogólny” będzie miał wpływ
niewątpliwie na układ sił w konfe-
dancie wyborczym Stanów Zjed-
noczonych. Musi Adenauer pośpieszyć
się z podpisaniem, by podbić cenę
Eisenhowera na licytacji Trumanowe-
go dziedzictwa. Więc uśmiech i uk-
lon i toast. Tak się żegnają „spis-
kowcy” przeciw woli dwóch ludów.

„Czynnik” urzędowe Waszyngtonu
wyraźnie stwierdził, że nie obcho-
dzi ich intencje radzieckie. Wytknęły
swoją kurs i są zbyt sztywne, czy le-
garnie, zbyt głupie, czy zacietrze-
wione, by zmienił go w jakichkolwiek
okolicznościach.

Adenauer a z nim garść polityków
wolał integrację Niemiec Zachodnich
z Zachodnią Europą, niż utworzenie
Niemiec zjednoczonych. Wolał — cho-
by dlatego, że ich szanse pozosta-
nia przy władzy byłyby absolutnie
znikome, gdyby cały naród miał moż-
ność wyrażenia swej woli politycznej.
Ale dla mas niemieckich zjedno-
czenie jest sprawą najważniejszą.
Ignorować to byłoby z naszej strony
szaleństwo. Nie przesko-
dziłoby to w zwerbowaniu kilku de-
wizji, ale zmieściłoby Niemców we
wrogich nam potencjalnie przeciwni-
ków”.

To potępienie polityki mocarstw za-
chodnich wychodzi z kół najgorli-
wszych baz burżuazji angielskiej —
głoszący jej organy brytyjskiej Labour
Party. Cóż ma do powiedzenia rzą-
dzący dziś odłam burżuazji — kon-
serwatyści?

Niemcy nie życzą sobie powrotu
form starych — obiecuje minister
Eden, wnikliwy badacz woli narodów
— nie chcą, by odżył pruski mili-
taryzm i nacjonalizm. I snując dalej
swe jasnowidzenia, subtelnie znaczą-
c duszy niemieckiej, odgadują drogi o-
calenia: nie pruski, lecz neohitle-
rowski militarizm i nacjonalizm, tym
razem prawdziwie sprzymierzony z

Anglią, może nawet — na przekór
Stanom Zjednoczonym...

Słychać okłaski. To Adenauer. We-
szy dysonans anglo-amerykański
na ręce monopolom Westfalii i Ruh-
ry.

Eisenhower, Adenauer, Eden —
łowcy w międzynarodowej dżungli ka-
pitalizmu. Białowieża z amerykań-
skim Goeringiem.

„Lud Niemiec Zachodnich musi za-
troszczyć się o dobrą politykę niemie-
cką: jak najszybszego zjednoczenia
narodu pod rządem jednolitości, wolno-
ści i godności ludzkiej”.

To pismo zachodnio-niemiecki or-
gan Kościołów protestanckich „Stim-
me der Gemeinde”. Głos prosty i ja-
sny i w swej nagiej prostocie nieo-
mal tragiczny. Stwierdza bowiem, że
w kraju, z którego Adenauer uczynił
lenną Waszyngtonu brak jest elemen-
tarnych składników normalnego ży-
cia narodu. Ale głos protestantów
niemieckich nie prost, lecz żąda. I
świadczy, że naród niemiecki, który
raz ugął się pod naporem faszystów
i dal się zaprzęć w nieludzką ryd-
wan Hitlera, tym razem nie cofnie
się, aż nie wywalczy tego, co nieg-
dyś utracił zanim jeszcze zdobył, co
dziś już urzeczywistnia na części
swojego obszaru — nie spoczenie, ale
wywalczy sobie wolność, niepodleg-
łość i godność ludzką, a wraz z tym
— zjednoczenie.

„Zachodowi nie zależy bynajmniej
na zjednoczeniu Niemiec — pisze
Paul Sethe we „Frankfurter Allge-
meine Zeitung” — Amerykanie uwa-
żają je za rzecz nieczesną i niepo-
żądaną”.

Dlatego Eisenhower narzuca „u-
kład ogólny”, dlatego Adenauer ma-
rzy o faktach dokonanych: utwale-
niu swej władzy za cenę sprzedaży
własnego kraju. Tak przed laty fe-
daliści sprowadzili wroga przeciw
sięgałemu po wolność ludów. Tar-
gowiecia kłękali u stóp Katarzyny i
Fryderyka, arystokraci francuscy za-
garśc złota sprzedawali Pittowi re-
wolucję i Francję.

Magnaci Rury mają więc licznych
przeciwników. I dla nich zjednoczenie
jest rzecz nieczesną i niepożądaną.
Jedność Niemiec to demokracja,
to kres władzy wielkich koncernów
i odtępienie. I słuszenie gazeta

frankfurcka stwierdza, że „nie ma
dwóch formuł zjednoczeniowych:
ZSRR chce zjednoczenia, Zachód go
nie chce”.

Zjednoczenie, czy „układ ogólny”?
Któż w Niemczech waha się w wy-
borze? Nie bez powodu uchyla się
Adenauer od ujawnienia tekstu do-
kumentu, który oddaje całe państwo
bońskie w całkowite władanie Sta-
nów Zjednoczonych i czyni zeń na-
stałe kolonię amerykańską; który od-
biera mu wszelką samodzielną, u-
prawiającą prokonsulów USA do ogła-
szenia stanu wyjątkowego i lekro-
tę zaprzęga; który uwiecznia okupa-
cję zbrojną, a wojska niemieckie
czyni armią zaczętną rzucającą po
wszystkich kontynentach na każde
skinienie Waszyngtonu — mocą de-
cyzji amerykańskiego dowódcy; któ-
ry wreszcie przekreśla wszelką moż-
liwość pokojowego zjednoczenia Nie-
miec, gdyż zastrzega wówczas auto-
matyczne rozszerzenie „układu” na
cały kraj.

W Essen i Kolonii, Hamburgu i
Duesseldorfie, wciąż jeszcze leżą w
gruach domy robotnicze zburzone
zamiast przemysłu wojennego przez
amerykańskie bombowce. Życie jest
trudne, każdy dzień powszedni jest
palącą troską. Ale dziś sprawa zjed-
noczenia i sprawa pokoju górąją po-
nad wszystkim, stały się treścią, wa-
runkiem i celem istnienia. „Wszędzie
i w każdej porze o tym się tylko mó-
wi!” — wola „Kasseler Zeitung”.
Sprawy te wytręciły z intercyi chłop-
a mieszczaństwa, rzuciły ich na ulicę
w jednym szeregu z robotnikami, we
wspólnej manifestacji. Front narodo-
wy stał się rzeczywistością. A wro-
k każdego kieruje się na Wschód, skąd
padło hasło, skąd płynie żądanie:
JEDNOŚĆ, NIEPODLEGŁOŚĆ, DE-
MOKRACJA, POKOJ!

Front narodowy rozrasta się, utwa-
la, umacnia. Ma mocny kościół —
klasę robotniczą. Walczą również zde-
cydowanie o front narodowy robot-
nicy zrzeszeni w partii Schumache-
ra. Na wiecu w Selb, we Frankonii
zapada jednogłośnie uchwała; zażąda-
ć od Schumachera, by przybył do Selb
razem z Maxem Reimannem, przy-
wódca partii komunistycznej i by obaj
wypowiedzieli „swoją” pogląd. Robot-
nicy chcą współdziałania partii robot-
niczych, ścisłej współpracy, zjedno-
czenia wysiłków swej klasy.

Takie uchwały zapadają jedna po
drugiej. Selb, to dziś nazwa setek
miast, miasteczek i miejscowości. Na
wielkim zebraniu socjal-demokraty-
czny w Muenster delegat syndykatu
robotników budowlanych, Meyer zys-
kał poparcie wszystkich niemal obec-
nych, gdy powiedział: „W nocie swej
Związek Radziecki wyraził aspiracje
całego narodu niemieckiego; w chwi-
li obecnej jest obowiązkiem każdego
socjalisty uczynić wszystko dla naj-
szybszego zawarcia traktatu pokoju i
urzeczywistnienia jednolitości”.

W krętych uliczkach Monachium, w
ogródkach piwnych zacięty ochryple
głos przywróconych do łask oku-
panckich czarnych SS, świętujących
zbratanie z „pogromcami Korei”. U-
licami przeciąga manifestacja poko-
ju. W Essen, skonsygnowana policja
strzela do demonstrujących młodzieży.
Lecz demonstranci są wszędzie, de-
monstrują dorośli i młodzi, starzy i
dzieci, cały naród. Młoda kobieta z
dzieckiem na ręku wola z rozpaczą:
„Nie chcemy, by nasze dzieci myśla-
ły, że pokój jest czymś, co znali tyl-
ko ich dziadkowie. One też muszą
wreszcie zaznać życia w pokoju!”

Chłop z Hohenfels, wygnany ze
swej ziemi wraz z wielu innymi przez
władze amerykańskie, mówi na zebr-
aniu: „Traktat pokoju jest nam po-
trzebny jak chleb powszedni. Przy-
wróć spokój Europie, jednolitość naszej
ojczyźnie i ziemię naszym chłopom!”

W Hamburgu sto dziesięć tysięcy
bezrobotnych uchwała jednogłośnie:
„Żądamy, by Senat miasta poparł z
całej mocy wszelkie wysiłki na rzecz
pokoju. Żądamy przyjęcia propozycji
radzieckich. Traktat pokoju na nich
oparty skończy raz na zawsze z nę-
dzą bezrobotności”.

W Hamburgu, przed redakcją „Ham-
burger Freie Presse” gromadzi się
tłum. Czytają artykuł wstępny gazo-
ty: „W Niemczech człowiek ulicy żę-
da, aby wszystkimi środkami zmie-
rzano do porozumienia Zachodu i
Wschodu. Dość ma placenia rachun-
ków wystawianych przez wojowni-
czych dyplomatów. Człowiek ulicy,
zawsze wysyłany na pierwszą linię
frontu w wypadku wojny, oczekuje
dziś, że między nami, dyplomatami
półną z nim razem drogą pokoju i
porozumienia między Zachodem i
Wschodem. I ma rację!”

Jeśli narody wezmą w swe ręce
sprawę pokoju... To właśnie staje się
rzeczywistością niemiecką.

Dr Joseph Wirth, były kanclerz
Niemiec i były przywódca katolickie-
go Centrum pisze w tygodniku fran-
cuskim, gdyż prasie Trizonii cenzura
Adenauera nie pozwala ogłosić arty-
kułu: „Z niemieckiego punktu widze-
nia mogę stwierdzić, że w Niemczech
Wschodnich Związek Radziecki zlik-
widował „wojnę Trzeciej Rzeszy”.
Rosja nie wkroczyła nigdy do Nie-
miec, czy Europy, chyba gdy była
zaatakowana. Tak było wczoraj, tak
będzie jutro. Nie chodzi o politykę,
lecz o złą wolę, gdyż mężowie stanu
Zachodu odrzucają propozycje Związ-
ku Radzieckiego. Rząd radziecki ogło-
sił, że drogą zapewnienia bezpieczeń-
stwa dwóch światów, dwa systemy
gospodarcze, dwa ustroje państwowe
mogą dojść do współpracy gospo-
darczej i politycznej. Oto droga jas-
na i jasno określona, której następ-
stwa i rozwój łatwo przewidzieć. Z
drugiej strony następstwa są nie do
przewidzenia, gdyż igrza się tam z
niebezpieczeństwem wojny. Wybór
jest prosty”.

Harold Schulze jest skromnym
funkcjonariuszem jednego z licznych
syndykatów robotniczych w Hambur-
gu. Harold Schulze jest socjal-demo-
kratą. Wierzył Schumacherowi i do-
daj jeszcze liczny na niego. Liczy, ale
donośne wołanie ze Wschodu wyda-
ło go z postawy bierności. Wciąż
jeszcze liczy na swoją partię, ale już
teraz wskazuje jej drogę. Harold
Schulze pisze do kierownictwa: „So-
cjalistyczna Partia Jedności i Partia
Komunistyczna wyciągnęły do nas
dłoń. Trzeba ją przyjąć. Od was te-
raz zależy decyzja. Od was teraz za-
leży, czy organizatorzy wojny będą
musieli zaprzestać swych przygo-
towań. Wszyscy socjaliści powitają go-
rąco noli radziecką, nową wielką
spokojność utrwalenia pokoju świa-
ta. Adenauer odrzucił ją, gdyż chce
Europy amerykańskiej po Ural, stwo-
rzyć siłę miecza. Wy możecie go
zmusić, by przestał sabotażować zjed-
noczenie, by przestał sabotażować tra-
ktat pokoju!”

Ten list ogłosiła prasa zachodnio-
niemiecka, czytali go towarzysze
Harolda Schulze i — myślą jak on: Nie
chcę Europy amerykańskiej, której
gorzki przedsmak widzę dookoła sie-

bie i czują na własnej skórze, nie
chcą być giermkami Ameryki, nie
chcą dźwigać jej miecza. Towarzy-
sze Harolda Schulze, doli socjal-de-
mokratyczne, w Hamburgu i Mona-
chium, Bawarii i Westfalii odrzuca-
ją politykę kierownictwa i wolać o
jedność, wolność i godność ludzką.

Schumacher nawołuje do „spokoju
i dyscypliny”. Ollenhauer składa na
ręce Mac Cloya niebezpieczne obietnice
„przywrota porządku” w szere-
gach swej partii. Niepewne, gdyż do-
ły, coraz bardziej stanowczo objawia-
ją swą wolę, coraz jaśniej widzą, że
serce Niemiec bije na Wschodzie.

Literatura niemiecka obfituje dziś
w szereg nazwisk wybitnych, w szereg
świątecznych piór. Anna Seghers,
Bert Brecht, Fryderyk Wolff, Jun-
Petersen, Rudolf Leonhard, Bodo Uhse,
Willy Bredel, Hans Marchwitza,
Johann Claudius — lista jest długa.
A wszyscy mieszkają na Wschodzie,
a twórczość wszystkich jest postępowa.
Uderzająca jest zbieżność tej sy-
tuacji z układem stosunków w Sta-
nach Zjednoczonych. Tam nie ma
wewnętrznych kordonów granicznych,
faszyzujący się ustrój ogarnia cały
kraj, geograficzna linia demarkacyj-
na przebiega najczęściej wzdłuż mu-
rów wiejskich. Lecz linia podziału
w literaturze jest ta sama: nie
ma pisarzy wybitnych w obozie reak-
cji, wszyscy wybitni pisarze działają
w obozie postępu.

Z Berlina, z NRD płynie głos kul-
tury niemieckiej, idącej naprzód, co-
raz wyższej, coraz bujniejszej. Lu-
dziom i ziemiom Niemiec Zachod-
nich poświęcili pisarze niemieccy
wiele znakomitych utworów. W ciągu
siedmiu lat powojennych ani jeden
utwór wybitny nie zrodził się na
tych ziemiach, choć obszar ich jest
o tyle większy, choć mieszka na nich
większość narodu.

Tak, serce Niemiec bije na Wschodzie.
Stamtąd idą impulsy życia i
tam wykrywa się przyszłość. Hitlerzy
przychodzą i odchodzą — mówi Sta-
lin — a naród niemiecki i państwo
niemieckie pozostaje. Hitler przemi-
nął i przeminać ci wszyscy, którzy
chcą Niemcy rozbić, budując na tym
nadzieję rozpętania wojny. A naród
niemiecki pozostanie i pozostanie
państwo, budowane już dziś na
Wschodzie i zdobywane w Niem-
czech Zachodnich w trudnej, lecz co-
raz bardziej zwyciężającej siły spo-
łeczności walce o jedność, wolność i
godność ludzką.

Andrzej Skiba

ZOFIA RZEPLIŃSKA

DROGI UPADKU I OCALENIA

PIERWSZY rozdział „Ocale-
nia” Anny Seghers ukazują-
cy katastrofę w kopalni wę-
gla i ocalenie życia siedmiu
górników — po wielu dniach
przeżywania w zaspęce
sztolni — stwarza sugestię, że tytuł
powieści uformował się w nawiązaniu
do tego wydarzenia. Dalszy rozwój
akcji wyraźnie jednak zaprzecza
takiemu wnioskowi. Problem ocale-
nia i przetrwania bowiem całą powieść
i daleko wykracza poza stosunkowo
wąski teren bezpieczeństwa i katastro-
fy kopalni. Cień katastrofy jest wpraw-
dzie obecny w całej powieści — ale
jest tam mowa nie o losach kilku czy
kilkunastu górników, lecz o losach ca-
łego narodu. Wstrząsający opis na-
wstępie powieści spełnia podwójną ro-
lę: wprowadza czytelnika w kraj sto-
sunków społecznych, typowych dla ka-
pitalistycznych kopalń — z drugiej
za strony stanowi chwyt kompozy-
cyjny, osadzający we właściwym kli-
macie historycznym życie miasteczka
w Zagłębiu Ruhry w latach 1929 —
1933.

Na skutek przemian — dla antyhi-
tlerowskiego ruchu oporu w Niem-
czech ocalał i jeszcze jeden od-
dział gotowych do całopalnej ofiary bo-
jowników, ochraniających zdrowe ele-
menty narodu, aby stały się zawią-
zkiem dla budowania przyszłości w no-
wej epoce. Powieść Anny Seghers od-
stania historię tych ludzi, historię do-
starczenia ich światopoglądów i pierw-
szej żołnierskiej zaprawy do walki.

Akcja powieści zaczyna się w listo-
padzie 1929 r. — wchodzimy więc w
okres „gabinetu Brueninga”, którego
kadencja nosiła już wiele symptomat-
yczne cechy przejścia od burżuazyj-
no-parlamentarnej ustroju Republiki
Weimarskiej do dyktatury faszystów.
Bruening wywodzi się z prawico-
wego Centrum przejdzie do historii ja-
ko ten premier, który jeszcze przed Pa-
pemem torował drogi Hitlerowi, tzn.
z miejsca okazał nadzwyczajną gorli-
wość „wszechstronnej” pomocy w sto-
sunku do przemysłowców, bankierów
i junkrów. Kiedy zaś kryzys gospodar-
czy dosięgnął szczytu, opanowywał
trudności kosztownym podwyższaniem po-
datków, ściąganych z mas pracujących,
kosztownym zmniejszaniem zasiłków dla
sześciu milionów bezrobotnych, wresz-
cie kosztownym obniżką płac. Kredyty, po-
moc finansową otrzymywały tylko ol-
brzymie przedsiębiorstwa, te, które wy-
dźwignęły swym złotem NSDAP do
roli wszechwładnej partii — ale ma-
krutowały, powiększając pauperyzację
mas drobniomieszczańskich, „Ocalenie”

pokazuje charakterystyczny dla nie-
czesnego końca Republiki Weimarskiej
obraz ostatnich jej lat: obraz klasy ro-
botniczej, spychanej przez kapital w
przeczność bezrobocia, zamykanie przed-
siębiorstw kopalnianych, wyrzucanie
setek tysięcy ludzi na bruk ulic. Konse-
kwencje tej polityki biegna podwój-
nym torem. Na jednym z nich obser-
wujemy w tym okresie wśród robotni-
ków niemieckich bezwładność psy-
chiczną, marazm, ośpienie, skłonność
do bezkrytycznego i bezwonnego po-
dawania się każdej sile, dzięki której
płagui się znów chleb na stole — na
drugim zaś skupia się bunt, pogłębia-
ją świadomość klasową, kłębią nastroje
rewolucyjne i rozwija w konkretną siłę
zaślepę antyhitlerowskiego podziemia.
Zasługą znakomitej pisarki demo-
kratycznych Niemiec jest pokazanie tego
podwójnego nurtu ówczesnego życia
społecznego. Seghers odważnie zdiera
zasłonę z najhantiebniejszego okresu
w historii swego narodu, aby pomóc w
analizowaniu błędów, aby tym ofiarnej
walce przeciwko ich następstwom i
pozostałościom.

W twórczości Anny Seghers, w twó-
rczości innych pisarzy niemieckich,
walcących w światowym froncie po-
stępu i pokoju wciąż przewija się jako
motyw naczelny, problem — DLACZE-
GO? Dlaczego pozwoliliśmy zbrom z
NSDAP wziąć władzę w swoje ręce?
Dlaczego na ziemi niemieckiej wyrosły
kominy krematoriów obozów kon-
centracyjnych? Dlaczego zmarnowali-
śmy wielowiekowe tradycje wolności-
owych zmagania naszego narodu, dla-
czego pozwoliliśmy na zaprzepaszczenie
ducha Muenzera i Lessinga, Marksa i
Goethego, Engelsa i Schillera, Heine-
go i Bebla, Humboldta i Liebknechta
i innych bohaterów wielu niemieckich
pokoleń walczących przeciw reakcji?
Dlaczego pozwoliliśmy na załamanie
się wspaniałej szansy rewolucji w
1918 r.? Dlaczego przetrzymaliśmy
bierność, jak rządy Republiki Weimarskiej
ześlizgiwały się po równi pochyłej
monopolów aż do państwa Hitlera?

Najpełniejszą, najlepiej dyalektycz-
nie opracowaną analizę tych zagadnień
otrzymujemy w innej powieści Seg-
hers p.t. „Umarli pozostają młodzi”.
W świetle pisarskiego reflektora zata-
czającego olbrzymi łuk od zakończe-
nia pierwszej wojny światowej aż do
początku klęski Hitlera na froncie
wschodnim, widać wyraźnie główne
przyczyny najczarniejszej karty w hi-
storii narodu niemieckiego. Znakomi-
cie pogłębione wątki tematyczne po-
zwalały na dokładne rozeznanie się
w roli wielkiego kapitału Niemiec,

który szukał „człowieka z odpowiednio
chrytmym programem” dla otumanienia
narodu i wciągnięcia go na drogę
zbrodni i ekspansji. Tragizma postaci
socjaldemokraty Geschkego, posuwają-
cego się po omacku, raczej dręczącego
w miejscu pod brzemieniem komple-
nej dezorientacji politycznej i samo-
tności walczących w podziemiu komu-
nistów, to symbol rozbitcia w ruchu
robotniczym Niemiec, rozbitcia, które tak
później zaważyło w przebiegu siły
wyników zmagania klasowych tamtego
okresu na korzyść junkrów i monopol-
ów.

Obraz samotności bohaterów nie-
mieckiego ruchu oporu najmniejszy
akcent uzyskuje w „Siódmym Krzy-
żu”. W powieści tej wstrząsająco
udowodniona wina mas niemieckich
stanowi diabelskie oskarżenie i jedno-
cześnie dziejowe memento dla narodu.
Anna Seghers pokazuje, że brak
konsolidacji w szeregu robotniczych
powoduje rozbitcie i osłabienie siły
bojowej mas ludowych, że unicestwia
nie tylko jej możliwości ofensywne,
ale pozbawia w ogóle możliwości
samoobrony i wydaje bezradną pod
obstrzał faszystów. „Ocalenie” uzu-
pełnia tę analizę, pokazuje bezsilność
demokracji niemieckiej w okresie na-
rastania hitlerizmu od strony braku
świadomości klasowej i wyrobienia
politycznego w niektórych środowis-
kach robotniczych tamtego okresu.
Ta świadomość rodzi się w ogniu
ciężkich doświadczeń i pod wpływem
kontaktów z ruchem oporu — ostat-
nie krystalizowanie jej w decyzję
nieubłągalną walki stanowi właśnie o-
calaenie i u. Zanim jednak zjawia się
szansa ocalenia, mamy w powieści
do czynienia z tłumem ludzi pozba-
wionych jakiegokolwiek orientacji, bez-
radnie kręcących się w miejscu woko-
ło swych trosk, przynęconych nędzą,
której przyczyn nie rozumieją, brakiem
perspektywy poprawy, jęczących pod
ciężarem wciąż potęgującego się ucis-
ku, z którym nie tylko nie umieją
walczyć, ale w ogóle nawet nie mogą
dorożnić się, jakie są jego źródła,
jakie cele i związki. Wiele charakte-
rystyczny jest np. fakt, że górnicy po-
czątkowo zwracają się właśnie do Ko-
munistów dla bezrobotnych oczekując
niej pełnego rozwiązania swoich tru-
dności bytowych. Przez dłuższy czas
nie możemy się doszukać w tłumie w
Findlingen żadnej postaci, która by mo-
gła reprezentować świadomych, upoli-
tycznionych robotników. Nieświadom-
ność, niezdeterminowanie, chwiejność,
bezwład polityczny — oto główne ele-
menty atmosfery przenikającej świa-
tek górników z kopalni Montana. Bez-

robotnie ciąży nad nimi nie tylko ko-
szmarem głodu, wytwarzają również de-
presję psychiczną, poczucie upokorze-
nia, działa destrukcyjnie pod wzglę-
dem moralnym, wprowadza nastroj
rozprężenia, poczucie bezcelowości i
bezsensowności życia itp.

Główny bohater powieści, rębacz
Bentsch skupia w sobie zasadniczą
konceptję ideową powieści. To on
przewodzi ocaleniu w kopalni, ocaleniu
w sensie fizycznym i on jest pierw-
szym w Findlingen, który schodzi w
podziemie jako świadomy bojownik
przeciw hitleryzmowi. Ale między ty-
mi dwoma zdarzeniami, z których każ-
de jest symbolem, mającym wyrazić
ścisły związek pomiędzy walką o ży-
cie i szczęście jednostki i walką o wol-
ność społeczeństwa, leży kilka lat w
życiu Bentscha, wypełnionych jałową
puszką dni, ciężką udręką duchową,
zamołotaniem się wśród męczarni psy-
chicznych, w nekającym poczuciu „bez-
wysciowości”. Ale potem zjawia się
postać młodego komunisty Lorenza,
wnoszącego w kraj rozmyślań i prze-
życia Bentscha palącą konieczność ana-
lizy otaczającej go rzeczywistości.
Dawniej Bentsch gorąco współczuł i
bolał nad nędzą swych towarzyszy,
własną, przeżywał zamyślenia bezradno-
ści swego rozumu i bezzużyteczności
swych rąk, nie pytał jednak nikogo
ani siebie samego; dlaczego. Teraz
zjawia się to zasadnicze pytanie i
wraz z nim zaczął odradzać się czło-
wiek.

Odtąd Bentsch będzie narażony
ustawicznie na wzięcie i tortury Ge-
stapo, drukować i rozdać ulotki an-
tyfaszystowskie. Odtąd będzie duszą
tych strajków w ośrodkach górniczych
Zagłębia Ruhry, które stanowią jeden
z czołowych elementów walki niemie-
ckiego ruchu oporu przeciwko polityce
Hitlera. Odtąd będzie wyjaśniał towa-
rzystom trudne zagadnienia walki
klasowej i wpał w ich oświecenie nędzą
możli, że „kumpel” z Afryki jest jed-
nak bliższy niż dyrektor kopalni,
mimo, że mieszka tak daleko — i że
łatwiej im przyjdzie dogadać się z
nim, niż z tym dyrektorem, mimo, że
nie zna języka niemieckiego. Odtąd
będzie coraz mniej takich na zebrani-
ach w knajpie Aldingera, mieszka-
niach czy na ulicach, którzy nie rozu-
mieją znaczenia związku proletariatu
całego świata przeciwko dyktatorom
kopalni całego świata, coraz więcej ta-
kich, którzy zaczynają szukać pozy-
tywnych wzorów w PANSTWIE, gdzie
przesłano istnieć bezrobotce, gdzie ro-
bota, tacy jak oni, potrafili nadać
sens i piękno swojemu życiu — owo-

żyć perspektywę wspaniałego rozwo-
ju dla swoich dzieci. Ciężko i opornie
szła ta nauka wśród mas niemieck-
kich. Anna Seghers nie szczędzi
obrazów trudu, chwilałami zdawałoby
się już beznadziejnego, antyfaszy-
stowskich bojowników.

— „Wczoraj byłem na zgrupowa-
niu nazistowskim — opowiada komu-
nistą Lorenz swojemu towarzyszkowi —
Ach, Albeicie.

— Ach? Co za „ach” znowu?

— O wiele łatwiej jest zrozumieć
wszystko to, co u nazistów jest fał-
szywe, niż to, co u nas jest prawdzi-
we... Tylko nasz ruch musi się prze-
dzierać przed okropne trudności, przez
coś najtrudniejszego. A i bez tego jest
dosyć ciężko. A ludzie chcą wreszcie
zaznać szczęścia niezwłocznie, raczej
niech to będzie jakieś „małe” szczęście,
przebrnąć. Musimy pokazać przekon-
ująco właśnie szczęście, które się kryje
za tym najcięższym, przez co musimy
przebrnąć...”

Anna Seghers tłumaczy, dlaczego
tak biernie większość społeczeństwa
niemieckiego szła na „faszystowski
kurs” — nie usprawiedliwia jednak
nikogo. Ta powieść jest tak samo
oskarżeniem jak „Siódmy Krzyż”, jak
„Umarli pozostają młodzi”, jak inne.
Zagadnienie „niemieckiej winy” zo-
stało tu oświetlone od strony nieświad-
omości i bierności mas, ale z in-
nych książek Anny Seghers dowiaduje-
my się, że zwycięstwo wielkiego ka-
pitalu, uzbrojonego w drażliwe pazury
faszystów nie tylko na bierność mas
bazowało. Nie byłoby bierności, gdyby
istniała konsolidacja w szeregach opo-
zycji. Istniałaby konsolidacja, gdyby
nie było rozbitcia — grzechu pierw-
orodnego w niemieckim ruchu robot-
niczym, faktu, który tak straszliwie za-
wazył na dziejach Niemiec. Na przy-
kładzie „Ocalenia” widać jaskrawo,
jak mści się agentura taktyka góry
partii socjaldemokratycznej, nie do-
puszczając do jednolitego frontu z
komunistami, wyprowadzając masę
robotniczą na manowce „porozumień-
z przedsiobiercami, manowce komple-
nej dezorientacji politycznej, pozwala-
jącej na nawijanie jakichś nadziei z
planami Hitlera itp. Autorka nie
szczędił czarnych barw dla odmalo-
wania błędów środowiska, zarażonego
bakcyliem bierności. Nastroj „Ocale-
nia” jest ciężki, przytłaczający, posta-
cie wręcz odychają czasami swo-
im mętnym, jałowym ustosunkowaniem
się do rzeczywistości. Nawet sylwetki
głównych bohaterów są przez długi
czas właśnie takie — a otaczająca
ich atmosfera niewiele ma wspólnego

z wielkością świadomej walki rewolu-
cyjnej. Wpływa na to także nie-
zmienne charakterystyczne dla meto-
dy pisarskiej Anny Seghers unikanie
techniki „czarno-białej”, pokazywanie
bohaterów również od strony ich słab-
ości i błędów. Wreszła ta nadzw-
yczajna wernosność dla najróżniejszych
elementów charakterologicznych i sy-
tuacyjnych wydaje się w „Ocaleniu”
przesadzona, zahaczająca niekiedy o
krawędź psychologizmu i naturalis-
tycznej faktografii.

Mnogosć szczegółów nie zawsze po-
myślnie wpływa na pełnię obrazu.
Dar niesłychanie ostrego widzenia,
umiejętność niezmiennie precyzyjnej,
niezmienne wnikliwej obserwacji, spra-
wiająca w „Ocaleniu” aż wrażenie
ustawicznych, męczących obsesji wzro-
kowych, wpływa na pewne zachwianie
proporcji pomiędzy tym a poszczególn-
nymi „aktywnymi” wątkami tematycz-
nymi powieści. W wyniku tego za-
chwiania — problematyka „Ocalenia”
nie przez cały czas jest tak krystal-
icznie wyraźna jak w „Siódmym Krzy-
żu” lub w „Umarli pozostają młodzi”.
Rozwój zasadniczej myśli ideowej
chwilałami zasiera się w natłoku zbęd-
nych, naturalistycznie potraktowanych
szczeółów. W ostatnim wyniku
jednak wielka jest wartość poznawcza
tej książki; stanowi ona cenną pozy-
cję uzupełniającą obok innych wspani-
ałych powieści Seghers.

Zmagania wewnętrzne nieświadom-
ego proletariatu są z własną nie-
wiedzą, po to, aby pokonać ją i stanąć
do walki z faszystwem, pokazane zosła-
ły w „Ocaleniu” z przekonującą
wyrazistością. „Gdyby mi Lorenz opo-
wiedał o haniebnych traktacie, o Zy-
dach, o tym systemie, gorąco i namie-
tnie, a nie jak Andrzej blado i bez
związku — myśli Bentsch podczas
rozmowy z młodym hitlerowcem —
czy byłoby to tak samo przenikliwe
wszystkie moje myśli, jak to, w co
wierzył Lorenz? A może tak Lorenz,
który by opowiadał to, co w tej chwili
opowiada Andrzej, nie mógłby w ogó-
le istnieć? A może tak Lorenz nie
potrafiłby wcale zawiązać moim ser-
cem i moimi myślami?”

Nie potrafiłby. Bentschem na pew-
no — nie. Tak wypadków w „Ocale-

JAN SKALSKI

NA WZNIESIONEJ FALI BUNTU...



Przodująca traktorzystka Magdalena Figur. (1930) Foto CAF

W dniu 23 kwietnia br. odbyło się w sali ZLP w Warszawie spotkanie uczestników strajków i buntów chłopskich z pisarzami.

Spotkanie było tym ciekawsze, że nie było to spotkanie z emerytami ruchu ludowego, z postaciami, które przeszły już do archiwum dziejów, że nie było to spotkanie z historią — lecz z współczesnością, która mówi o swych tradycjach i źródłach. Wszyscy ci chłopcy, pracujący nadal społecznie i politycznie, są we władzach ZSL-u i PZPR-u i w Radach Narodowych. Jeden z nich ob. Szymon Pietrzak z Andrzejowa Juranowskiego pow. Sochaczew, jest dziś przewodniczącym spółdzielni produkcyjnej. Przemawiają jasno, prosto, rzeczowo, ze swadą starych majstrów-mówców, budząc zazdrość zebranych literatów, którzy jak wiadomo, darem wymowy nie grzeszą.

Spotkanie miało mieć charakter źródłowo-informacyjny, nie ograniczyło się jednak do suchego sprawozdania. Zbyt wbiły się w pamięć chłopów ówczesne wypadki, by mogli poprzestać na beznamiętnej relacji. Zbyt urosły od tamtego czasu ich doświadczenia życiowe, zbyt dużo nauczyła ich historia i pogłębiła się ich świadomość, by nie pokusili się także o krytykę tamtych wypadków, a w szczególności krytykę postawy i polityki ówczesnych władz stronnictwa. Perspektywa 20-15 lat, jakie upłynęły od tamtych wypadków, zaakcentowała ich klasowe rysy, uwypukliła bohaterstwo i rewolucyjny porw dołowych mas chłopskich z jednej strony, a z drugiej oportunizm i zdradę SL-owskich przywódców, reprezentujących kapitalistyczne interesy kulactwa. Co najważniejsze zaś, historia wydała już sąd o tych wydarzeniach. Wypadki historyczne pokazały naocześnie, kto miał wtedy słusność.

Bezpośrednie przyczyny buntów i zaburzeń były nieraz niewspółmiernie białe do następstw, które za sobą pociągały. W Grodzisku pow. Łańcut taką przyczyną był np. fakt, że w dniu Bożego Ciała policja zakazała tradycyjnej strzelaniny z moździerzy (czerwiec 1933).

W gminie Jadów pow. Radzymin chodziło o tzw. rogatkowe, tj. opłatę pobieraną przy wjeździe do miasta od chłobów, która została podniesiona z 20 groszy na 50 groszy za furmankę jednokonną.

Nieraz przyczyną wybuchu był „zwykły” mandat policyjny czy czynność urzędnicza skarbowca. Bunt rozpoczął się od pobicia policjanta, od wypędzenia sekwestrata.

O czym to świadczy? Świadczy to o tym, jak wielkie było napięcie rewolucyjne, jak wielka była miara kryzysu, jak bardzo na wyczerpaniu była cierpliwość chłopska, skoro najmniejsza przysłowiowa iskra mogła wywołać i wywoływała pożar.

Uczestnik ówczesnych walk chłopskich, Szymon Pietrzak z Andrzejowa Juranowskiego pow. Sochaczew opowiada o swoim aresztowaniu za udział w strajku. Na drugi dzień po strajku przyszło do niego 2 policjantów i pytają, dlaczego nie poszedł na targ.

— Nie miałem interesu — odpowiada.

— Znamy się na tym — mówią oni — wy się buntujecie.

— Ano — odparł Pietrzak — wściecie, że jak chłop nie ma wyjścia, to się buntuje.

Ówczesne kierownictwo Stronnictwa Ludowego nie mogło nie dostrzec tych rewolucyjnych nastrojów mas. Czy zdobyło się jednak na zdecydowane wystąpienie przeciw sanacji? Na rewolucyjnie obalenie istniejącego ustroju wyszukała pozą.

Nie leżało to zupełnie w jego planach. Kierownictwo SL bardziej nie nawiązywało i obawiało się rewolucji proletariackiej niż sanacyjnego faszyzmu.

Co więcej, w ówczesnej sytuacji wzrostu nastrojów rewolucyjnych wśród mas robotniczych i chłopskich, w obliczu rosnących wpływów KPP, system sanacyjny był wladom SL na rękę, jako tania przeciwko wezbranemu potokowi ludowemu, jako pieśń wymierzona rewolucji, jako żądania na straży kapitalistycznych pozycji. System politycznych palek Borezy Kartuskiej, wodza i prezydenta — autarchii odpowiedzialnego „tylko przed Bogiem i historią” — dawał w ich pojęciu pewną gwarancję, że przebiegnie szczęśliwie przez wzniesioną falę rewolucyjną, przez siedem chudych lat kryzysu — i wyniesie stamtąd ocalony kapitalizm.

Nie mogły jednak centralne władze stronnictwa przejść do porządku dziennego nad żądaniami doprowadzonych do ostateczności chłopów, wymagających działania i obalenia znieprawionego systemu ucisku.

Cóż więc czynią? Oto starają się wykorzystać sytuację do własnych rozgrywek politycznych z sanacją w ramach systemu kapitalistycznego, by na plecach mas dorwać się do współwładzy w rządach.

W tym celu usiłują skanalizować nastroje rewolucyjne chłopstwa w pewnym określonym kierunku, wtłoczyć je w pewne określone ramy.

Celowi temu mają służyć strajki chłopskie pomyślane od góry jako próba postrzeżenia sanacji drogą legalnej demonstracji, które jednak na dole zostały wykonane jako czyn buntu, przybierający nieraz charakter zbrojnych i krwawych powstań.

Dzięki czemu się tak stało? Dzięki postawie mas, które nie tylko posiadały świadomość krzywdy, ale coraz częściej, dzięki ofiarnej pracy działaczy KPP, dzięki przykładowi i ideologicznej pomocy klasy robotniczej, zaczynały widzieć prawdziwego wroga, poznawać właściwą drogę i skuteczne środki prowadzące do wyzwolenia, zaczynały działać świadomie.

W opowiadaniach uczestników buntów i strajków chłopskich przewijają się stale nazwiska chłopów i robotników komunistów, nierozłącznie związanych z przebiegiem tych buntów i strajków. Dużo o nich mówił Szymon Pietrzak z Andrzejowa Juranowskiego, pow. Sochaczew.

Szczególnie ostro zarysowała się w jego opowiadaniu sylwetka robotnika Stanisława Pichuckiego, współorganizatora strajku w 1937 roku, który podjął ofiarną walkę z łamistrzami i policją na drodze Kozłów—Sochaczew.

O wielkim poważaniu, jakim się cieszył u chłopów i wpływie na nich, świadczy fakt, że w czasie każdego większego zgromadzenia ludzi np. na jarmarkach chodziła za nim krowa, którą policja i odganiała od niego ludzi, żeby nikt z nim nie rozmawiał. Tak się go obawiali. Stanisław Pichucki zginął podczas okupacji z ręki hitlerowców.

O ścisłym kontakcie i współpracy z robotnikami przy organizowaniu buntów i strajków mówią Jan Biesaga z Brudowa, gm. Morawica, pow. Kielce, Maria Detkowska z Czarnowa gm. Niewachtów, pow. Kielce, Aleksander Borchowski z Sulejowa, gm. Jadów, pow. Radzymin, który pracował przy kolportażu KPP-owskich ulotek — a na pierwszego maja o ile nie zdążył wyjechać z Sulejowa byłby zawsze aresztowany i trzymany prewencyjnie pod kluczem. Pietrzak Bolesław z Janówki, gm. Kobylin, pow. Grojec, który opowiada o wspólnej naradzie powiatowego aktywu SL w Groju z KPP-owcami w przededniu strajku 1937 r.

Pietrzak przytacza również jeden charakterystyczny dla ówczesnych stosunków fakt, demaskujący oportunistyczne stanowisko gór SL-owskich. Mała rewolucja jaką przygotowano w powiecie grojeckim wymagała przetrwania komunikacji. W tym celu nawiązano współpracę z komunistami. Ludowcy mieli dostarczyć benzyny komunistom, którzy przyjęli na siebie zadanie spalania drewnianych mostów. Na próżno jednak komuniści czekali na obieganą benzynę. Ludowcy stochorzyli. Ulegając zakazom, naciskowi i propagandzie centralnych władz stronnictwa („Mosty są potrzebne, są naszym wspólnym dobrem, za nasze pieniądze zostały zbudowane, jak się spala będziemy musieli znów na nie płacić”) nie dostarczyli przyrzeczonej benzyny.

Nie wchodząc w rozważania czy w ówczesnej sytuacji spalanie mostów było posunięciem taktycznie pożądanym czy nie, samo porównanie zachowania komunistów i ludowców oraz argumentacja centralnych władz stronnictwa tłumaczy i streszcza nam doskonale ówczesne stosunki: lek prawicowego SL-u przed każdym radykalniejszym wystąpieniem, tłumienie odruchów rewolucyjnych, bojaźń przed przekroczeniem platformy legalności.

Jeszcze wyraźniej te dwa nurty: ugodowy — gór stronnictwa i rewolucyjny — dolów wystąpiły podczas wypadków Nowosieleckich.

W 1932 miał miejsce wielki marsz chłopów na Przeworsk, pomyślany przez przywódców SL-u wyłącznie jako legalna manifestacja celem przedstawienia rządowi sanacyjnemu żądań (układanych z góry na wyrost — żeby w targu było z czego ustępować, a i tak dość umiarkowanych) — chłopci jednak myśleli co innego, — opowiada Kuźniar Michał ze wsi Siedleńka, gm. Kańczuga, pow. Przeworsk. Uzbrolili się. Najpóźniej została zawiadomiona wieś Łopuszna Wielka, ale za to wystąpiła najbardziej bojowo. Chłopi ponabiali tam kapsle od wozu na palki i ruszyli wielką gromadą.

Oto na płacym kilometrze od Przeworska rozegrał się dramat. Ci rozentuzjuszowani, pełni zapału i żądzy walki chłopcy spotkali beładnie cofający się tłum. To wracali sąsiednie gromady, które wyszły wcześniej. Okazało się, że jest już po „rewolucji”. Przywódcy SL-u kazali się rozejść. Dlaczego? Przecież miano iść na Przeworsk. Tak, ale naprzeciwko wyjechał pan starosta i komendant policji. Przywódcy odetchnęli z ulgą. Starosta wysłuchał uprzejmie ich żądań, był bardzo ugrzeczniony i wszystko obiecał, o co prosili, a przywódcycom przecież o nie innego nie chodziło. Inna rzecz, że nawet tych żądań nie uwzględnił, a wracających chłopów napadło wezwane przez starostę wojsko.

Lecz panowie z władz SL-u nawet z takich lekcji nie wyciągnęli żadnej nauki. W 1936 r. powtórzyło się to samo, tylko w bardziej uroczystym nastroju. W pobliskich Nowosielecach obchodzono rocznicę odparcia najazdu tatarskiego przez legendarnego wojtę z Nowosielec. Ponieważ chan tatarski, który wtedy

Chłopskie strajki (1932 r.)



Foto-CAF

ZDZISŁAW KUBALSKI

POŻAR

Jak krwawy łańcuch wiąże chłopów historię...

Sanna i Jadów... Lubla i Łapanów.

W ogniu rosną dnie burzliwej pory.

I groby rosną pomordowanych.

W imieniu prawa uśmiechnięty pałkarski brzoń repetyje w Grodzisku, Kozodrzy...

W imieniu prawa zamknął usta salwa.

Usta — krzyczące głodem.

Leskiem się chłopom pokazał słońca skrawek, zagrał na kosach — i szklitych żręnicach...

Siedmiu — w Muninie koło Jarosławia,

a jedenastu padło w Krzeszowicach!

Jak chmura wpadli w błysk kos granatowi plony strajkowe roznosić — salwami.

Padło zabitych siedemnastu chłopów

w cichym Sieniawskim Majdanie...

Jarosław, Przeworsk, Radzymin, Lesko, Łańcut...

Nie zliczysz ogniw okrwawionej pory!

Idą z pomocą twarzysze z miasta!

Więć polska polanie!

Zdzisław Kubalski

STANISŁAW SKONECZNY

DO WIEZIENIA

Fragment gawędy wierszem pt. „TAJEMNICA PAŁYSA”

Zawiadomilem z naszego koła wszystkich. W niedzielę rano wesola gromadka nas szła do Ostalówka. Gdyśmy do szosy doszli, z Janówka kilku się chłopów z nami złączyło. Słońce już dosyć wysoko było, kiedy zmęczeni do pierwszych chałup doszliśmy. Ludzi, mimo upału, było nad tysiąc. Koło kościoła, Adamek Ambroź na mnie zawołał. A kiedy poszedł do niego — gada, że może wypaść tutaj wnet zwada, bo poseł Gawron, stronnictwo zdradził i od miesiaca właśnie prowadzi swą rozbijacką robotę wszędzie, myśląc, że ludzi sobie zdobędzie. „Chodźmy — powiada — razem, zbierzemy lepszych wieściowców i stać będziemy na pogotowiu”.

Ambroź się między tłumem uwijać zaczął wnet zebrał ludzi około czterdziestu, prawiąc do nich wesolo: „Gdyby się Gawron rwał do mównicy, to mu wlejemy, niech drań nie krzyczy”. Zaledwie skończył, gdy ktoś jak poseł, zaczął przemawiać tubalnym głosem. Jeszcze nie zdążył pochwycić zdania, a już się Gawron z boku wylania i woła. „Ludzie! Obywateli! Koledzy! Wy tu jego niewiele

Sluchajcie” — a ten co mówił z lawy zepchnął Gawrona i dalej prawi. Tymczasem Gawron, krzyknął na swoich ludzi i tłum się zaczyna roić. Krzyki i gwizdy powietrzem płyną, Ambroź, stojący przy mnie ze trzciną w garści, zawołał: „Chłopcy do plotu!” Łamiemy parkan, nie czując potu i ile w nogach sił gnamy aby zmara. żerdziami Gawrona schaby. Ale tu naraz jego kompanów ze stu wypada spoza parkanów i tylko trzeszczą żerdzie na głowach.

Nie wiem kiedy się skończyła mowa, zaraz, czy później, ponieważ strzali jak wróbel z łajna nas roznęły. Słapiąc, przypadłem pod mur kościelny. patrzeć, od młyna policji pełny samochód jedzie a drugi z szosy zjeżdża; bagnetą błyszczą jak kosy.

Jan Skalski

BOGUSŁAW KOGUT

NA WYGONIE

(Fragment powieści)

Z obskubanej, pokracznej chałupy wyszła Rydzkowa i szła prosto ku chłopcom, podtrzymując jedną ręką fartuch, jakby w podolku coś niosła. Widocznie skończyła ranny oprzet, z krową wyprawila Marynę, a że nie miała małego dziecka — nie miała w chałupie co robić. W polu też nie było roboty, bo ziemniaki były już dawno obrobione — a ta odrobina żyta na trzecim stajaniu za gościńcem — już związana i ustawiona w mende. Rydzkowa była plotkarka, znaną w całej wsi. Wiedziała zawsze wszystko, co było i czego nie było, chodziła, słuchała, komentowała. A że od paru tygodni żarła się z trzechową o jakieś utopione w gnojówce kurczę — nie miała co ze sobą zrobić, wybrała się więc na pogawędkę do Boguszowych chłopaków na łąkę.

Chłopcy nie bardzo byli radzi tym odwiedzinom, gdyż nie lubili Rydzkowej.

— No i jak się wam pali? — przywitała ich Rydzkowa swoim szerokim, nieforemnym uśmiechem. — Przyniosłam wam 8 ziemniaków, to se upieczcie.

Nie schylając się wysypała ziemniaki z podolka Józek w mig zagrzebał je w ogień, dokładając na wierzch suchego nawozu.

— No i co chłopaki, tata w domu? — spytała niby od niechcenia, sadowiąc się wygodnie na trawie.

Chłopcy spojrzeli po sobie.

— Nie — odparł Józek — gdzieś poszedł od rana, my jeszcze spali.

— A mama czemu żyta nie wiąże? — pytała dalej baba.

— Mama? Przecież jeszcze słaba.

— Słaba? A czemuż to?

Chłopcy spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

— Nie udawajcie, kiej dobrze wiecie — sarknął Kostek.

— Nie, nie wiem — uśmiechała się chyttrze.

— No, przecie po dziecku — rzekł Józek takim tonem jakby już przynajmniej sam był ojcem. — Wszystko zawdy wiecie, a tego to nie? Wyście łofskiego roku dwa tygodnie po dziecku leżeli i jeszcze wam umarło, a chcieliście żeby mama już robiła?

— Nie wiecie to, gdzie tata poszedł? — zawrociła znów Rydzkowa.

— Nie, ale pewnie i wsi gdzieś poszli, bom ich od rana nie widział — zauważył Kostek.

— Poszedł. Już ci poszedł — mamrotała baba.

— Ale dzisiaj pusto na polach — ciągnął dyplomatycznie Kostek. — Gdzieś niegdzie inni w są to same baby.

— Pewnie że baby same — rzekła gniewnie Rydzkowa — kiej te głupie chłopcy te Kozodrzy poszli.

— Na Kozodrze mówicie? To oni na Kozodrze szli? A po co?

— Echi, co tam, i tak nic z tego nie rozumiesz.

— Nie bójcie się, nie takim głupi jak myślicie — obraził się Kostek — Widziałem jak chłopcy szli i jak u Mi-

kulskiego tłukli szyby. Ino nie wiem po co na Kozodrze szli.

— Widziałeś? To co cyganisz jucho jedna, żeś spał? A nie wiesz po co szli — to ci powiem, ino Józek przyjdzie, bo by nie słyszał.

Józek zawrócił Łysą od Białukowej, go koniczu a przybiegłszy poprawił kijem ziemniaki w ognisku, usiadł.

— No gadajcie — nalegał Kostek.

Baba bąkała z początku trzy po trzy potem rozgadała się na dobre i zaczęła opowiadać chłopcom usłyszane i upstrzone plotkarską fantazją wieści o Kozodrzy. Chłopcy słuchali pilnie, jak kazania. Oczywiście, wszystko brali za dobrą monetę, bowiem nie stać ich było na odróżnienie prawdopodobieństwa od fantazji plotkarki. Dowiedzieli się więc, że na Kozodrzy policja pobiła wielu i uwieźliła kilku chłopów za jakieś strajki i wiece, że na arezt rzucili się baby z całej wsi aby chłopów odbić — ale „siantary” rozpedzili je. No i że z tego będzie rebelia, bo wszyscy chłopcy z całych okolic szli na pomoc Kozodrzanom.

— A wy się nie martwicie? — spytał Kostek, kiedy zmęczona gadaniem baba umilkła, by odsapnąć.

— Co się mam martwić — sapnęła baba. — A bo to mój Wojtek głupi, że by palec w ogień pchał? Nie bójcie się, lba on nie nadstawi.

Kostek przypomniał sobie słowa ojca, który mówił że się z pałkami nie porwa na karabiny. „Pewnie że się nie porwa” — myślał. „I przjadą z nich czym Rewolucji nie będzie”.

Tymczasem Rydzkowa wygrzebała z popiołu ziemniaka, przebiwszy go nożem, który nie wiadomo skąd wyciągnęła.

— Dobrze się upiekł — stwierdziła.

Oskrobała ziemniak nożem i oglądała go wokoło, rzekła:

— Trza spróbować.

Skosztowała raz i drugi. Ziemniak znikł. Wtedy chłopcy jednocześnie sięgnęli po pozostałe ziemniaki.

— Nie rusz — wrzasnęła nagle Rydzkowa. — Przednowceki jeden! Dla was żem ziemniaki przyniosła, he?

Chłopcy odskoczyli na bok. Rydzkowa wzięła ziemniaki do podolka i zabierała się do odciecia.

— Kmiecie syny psłamać, działowskie ziemniaki by jedli — burzyła się. — Zatkajcie się gębę tymi ziemniakami i idźcie skądście przyszli! — wrzasnął Kostek i na wszelki wypadek cofnął się parę kroków.

— Ale baba nie myślała go bić. Wsadziła ziemniaka w gębę i ruszyła ku przeko-

kopie.

— Tacyście głodni, to macie jeszcze kawał chleba — krzyknął Kostek i cisnął w odchodzącą niedojedzoną kawałkiem chleba od śniadania, który miał w kieszeni.

Gówniżnu grzeszny jeden, będziesz boski dar poniewierał? — zawołała baba, poczem schyliwszy się ułowała porzucony chleb i schowała go do zanadru.

Bogusław Kogut

Stanisław Skoneczny

LUDWIK MAJ

Co znaczy dla nas prasa i książka

U NAS na Podhalu chłopi bala-
muceni przed wojną i oszuki-
wani przez przywódców „ludo-
wych” z jednej strony, a z drugiej
zatrutowani jadem nienawiści do wszy-
stkiego co postępowe — co oparte
o naukę — przez klerikalne „Male
dzienniki” i „Rycerze Niepokalanej”
tracili wiarę w słowo drukowane.

Na terenie gminy Bystra na prze-
szło 2.000 rodzin przed 1939 r. pre-
numerowano 16 dzienników, „ILU-
STROWANY KURIER CODZIENNY”
— MAŁY DZIENNIK — co około
100 RYCERZY NIEPOKALANEJ (kie-
re kręcącym się koło kościoła wyka-
no bezpłatnie) 16 PRZEWODNIKÓW
KATOLICKICH — 35 PIASTÓW.
Oczywiście, dzienniki prenumerowali
urzędnicy i księża — PIASTA I
PRZEWODNIKA — bogatsi chłopi
RYCERZ wsiadali w „pobożnych”.

Bibliotek publicznych nie było żad-
nych.

Co wieś czytała? Kupowane na od-
puszczki senniki egipskie, w których
szukano nadziei lepszej doli, kalen-
dary uniwersalne, które udzielały
„porad” rolniczych w postaci prze-
powiedni pogody i „dni dobrych
spod znaku ryby czy raka”, ponadto
rozmaite treści „naukowe” — książki,
opisujące męki piekielne z kotłami i
ogniem siarkowym.

Taką literaturę karmiona była na-
sza wieś. Dziś na teren gminy By-
stra przychodzi w prenumeracie prze-
szło 1.000 egzemplarzy „Gromady”,
„Rolnika Polskiego”, „Zielonego
Sztandaru” i wiele innych o treści
politycznej, literackiej, rolniczej, mło-
dzieżowej.

Bu, dzieci z oszczędzanych groszy
z dużym prenumerują setki Świer-
czyków — Płoników — kupują księ-
żeczki — zakładają własne bibliote-
czki. Listonosze uginają się pod cię-
żarem drukowanego słowa, które do-
ciera do domów, by do reszty znisz-
czyć wiekowe pęta zacofania.

I tu dochodzą do sedna sprawy.
Czynnikiem bardzo ważnym, który
pomógł przywrócić pracującemu chło-
pu wiarę we władzę (bo to władza
robotniczo — chłopska) i który po-
wziął bezpartyjne chłopstwo z par-
tją i rządem — była prasa.

Chłopi, dzisiaj innymi oczyma pa-
trzą na zjawiska międzynarodowe
czy wewnętrzne, rozumieją już dzi-
siaj, że władza — to oni, że kowala-
mi szczególnej wsi są robotnicy i
chłopi.

Dziś już pracującego chłopca nikt
nie złości na jedwabne słówka tu i
ówdzie szepczących „opiekunów”, a
pozabawianych wpływu na „oswie-
ślenie wsi”.

Nieraz się zastanawiałem, co wię-
cej wpłynęło na powołanie się pra-
cujących chłopów z klasą produkcyj-
ną — czy podniesiona stopa życiowa
czy wiedza. Ja osobście twierdził-
bym, że to drugie trzeba było bardzo
dość — skoro i taki chłop, który
jeszcze był w ciężkich warunkach
życiowych z powodu warunków
rodzinnych — gdy „opiekun” zaczęto
mu szepotać o trudnościach przeżyci-
wych, a których nikt nie kryje, to
taką da mu ten chłop naukę, że wię-
cej nie ma ochoty podjąć.

Czy widzieliście kiedy przed 1945
rokiem chłopca, który by podałki i in-
ne świadczenia płacił z ochotą? Nie.
Dziś chłop płaci podatków przed
terminem, bo wie, że ma z czego
płacić i wie, że płaci sobie i swojej
ojczyźnie, na jej i swój rozwój.
I kiedy ktoś na wsi próbuje wymągać
się od spełnienia obowiązków, nie
sekwestruje „początku” go o obowiąz-
ku (jak przed 1939 r. pouczał bied-
nych chłopów) ale sami chłopi do-
płniają takiego „sąsiada”, by spełnił
swoją powinność.

Co zmieniało pracującego wieś?
Służba polityka partii i prasa,
którą chłop stał się wdzianym w na-
ręcznik. Czyta ją z ciekawością i
wiarą, gdyż notuje ona to, co
sam ogląda — pomaga uswać trud-
ności i niedociąganie. Wraz z czy-
telnikami prasa żyje zagadnieniami
walczącej wsi, uczy i usprawia pra-
cę.

Nabrał chłop nasz śmiałość i
szerszą „rozum”. I w nowy spo-
sób staje przed tu i ówde „panują-
cym” jeszcze urzędem, odcierającym
od życia dziesięć wsi i szacując
pracującego chłopca kategorią
sprzed 1939 r. Taki „biurokrata”
oburza się na prostego chłopca za to,
że mu zwraca uwagę na opieszałość
i mechaniczne urzędowania, za to,
że podaje mu konkretne propozycje,
w jaki sposób bieżąca sprawa naj-
krótszą drogą może być załatwiona.
Taki urzędnik mówi po cichu — co za
czas! Mnie, com zęby zjadł na ur-
zędowaniu będzie taki owaki urzę-
dnik i nauki dawad? Ale wówczas musi
„rodowe biurko” opuścić, jak opuścił
je Józef Buda w Siedzinie, wójt od
1936 do 1945 r. pod naciśnięciem
pracującego chłopstwa. „Niezasłupiony”
urzędnik zastąpiony został przez
prostych chłopów, którzy przyszli wprost
od produkcji.

Dziś się przedwojenni spekulanci
i sklepikarze z Bystrzy i Siedzi-
ny, Tajfer, Kulha Jan i inni (którzy
z powodu braku dostatecznej czynno-
ści klasowej pracującego chłopstwa,
potrafiliby swoje prywatne sklepy za-
mienić na filie GS i we własnych
domach już jako „spółdzielcy” w
dalszym ciągu „nucząc” wsi (wieś),
że chłopi od wielu lat „obsługiwani”
przez nich i ich „fachowe zdolności”
— dzisiaj żądają usunięcia ich z apar-
atu gminnych spółdzielni — a na
ich miejsce zatrudnienia dziewczyn,
które im dotąd usługiwały.

Na pewno, pod naporem świadom-
ionej wsi gmina spółdzielnia w

Bystrej pozbędzie się tego „fachowe-
go” elementu, co przyczyni się do
lepszej pracy GS ku zadowoleniu
chłopstwa pracującego.

Skąd ta śmiałość u chłopów?
Płynęła ona z prasy, bo ona podnio-
sta ich do świadomości gospodarzy
kraju. Zagadnienie planowania gos-
podarczego w naszym ustroju nie
odbywa się poza udziałem chłopów.
O planach kontraktacji czy innych
chłopi mówią — NASZ PLAN NA
GMINIE BYSTRA, NASZ PLAN NA
GROMADzie OSIELEC itp.

Jak się to stało, by chłop „zasie-
dził” na swoim podwórku? Tak szeroko
spoglądał? Mnie niepotrzebne
były dociekania, dlaczego tacy bez-
partyjni średnicy, jak Chowańki
Wincenty z gromady Kojszówka wła-
ściciel 6 ha, dostarczył w 1951 r. 6
sztuk kontraktowanych tuczników a
w 1952 zakontraktował 7 sztuk, jak
również 30 arów lnu. Gazeta „Groma-
da” leży u niego na stole.

Inni z tej samej gromady, Jarom-
in Franciszek, samorzutnie wezwał
Chowańka do współzawodnictwa w
kontraktacji tuczników — Migas Sta-
niław zakontraktował 1 ha lnu, Kar-
daś Władysław — 1 ha lnu, Syr
Julian — 1 ha lnu i wielu innych bez-
partyjnych średniaków. Sami mówili,
że przy pomocy prasy potrafili roz-
umieć sens służnej polityki partii.
Matorolny chłop (2 ha) Łatawiec
Piotr z Bystrzy, Bachul Aniela z Os-
sielca i setki innych Banaszków, Za-
jáców, Majów, Rysów, Miśkowców
— a wszyscy pilni czytelnicy prasy
— kształtują nową wieś i nie ich
już nie oderwie od uczestnictwa w
w budownictwie socjalizmu na wsi.

Wśród inteligentów niektórych z
klasy mieszczańskiej pokutuje jesz-
cze mniemanie, że chłopi nie dorosli
do czytania pism literackich. Ze
„Wiesi” i „Nowa Kultura” są dla
chłopów niezrozumiałe?

Taką rozmowę podслуchałem w
przedziale kolejowym pociągu Kraw-
ków — Zakopane, którą prowadził
trzech panów, a jeden znajomy An-
toniego Gólbiewa, autora „Chrobrego”.
Siedziałem w tym samym przed-
ziale z kolegą, tak samo prostym
chłopek jak i ja. Uśmiechaliśmy się
na różne „arcy mądre” wywody na-
szych towarzyszy podróży.

WITOLD WIRPSZA

DROGI DO KULTURY

W sześćdziesiątce urodzin. Przy-
gotowałem sobie na 15 kwietnia 1952
otwarto świetlice wzorcową w gromadzie
Jasienicy powiatu szczecińskiego.

Jasienica jest duża wsią, rozbudowaną,
o kilku ulicach, przy których nierazko
stoja piękne kamienice. Zewnętrznie
robi wrażenie małego miasteczka. Z ukła-
du tej wsi widać, że ongiś — przyczyn
tutaj „ongiś” — znaczy niespełna dziesięć
lat — centrum stanowił niewielki, śred-
niowieczny (prawdopodobnie gotycki, dwu-
stara) kościółek i rozsiadły tu obok, dwu-
skrzydłowy pałac magnacki o wszel-
kich cechach fryderycjańskiego, bardzo
sproporcjonalizowanego rocco z frag-
mentami gotyckimi w części budowli.
Przypuszczam, że te, pamiętające odległe
wieki, feudalne mury były jeszcze w roku
1944. Dziś są martwe całkowicie.
Centrum przeniosło się gdzie indziej.

Bez wień nim zarząd powstałej spół-
dzielni produkcyjnej imienia Wilhelma
Piecka. Spółdzielnia ta, mimo że istnieje
zaledwie od 8 marca, wykonała w termi-
nie Siew Wysokich Płonów. Bez wień
nim nowo-twarła świetlica wzorcową, o
którą przystąpił nam właśnie zamie-
scał. W tym samym czasie, w czasie
opowiadając. Dzieje tej świetlicy, mimo
że istnieje dni zaledwie kilkanaście, sie-
gać czasów dawniejszych, zapal zaś, z
jakim młodzież Jasienicy wzięła się do
pracy, jest bezspornym wynikiem do-
nieśli i walki polskiego ludu pracujące-
go na przestrzeni dwóch co najmniej
pokoleń.

Zaczynając jednak od rzeczy bliższych,
od historii ostatnich czterech miesięcy.
Otoż do stycznia tego roku istniały w
Jasienicy dwie świetlice młodzieżowe.
Głównymi ich kierownikami byli zetem-
pary, — Janusz z S. P. Obie świetlice
były wykorzystywane, nikt się nimi
z zewnątrz nie zainteresował. Taki stan
rzeczy trwał aż do konferencji gminnej
ZMP, która odbyła się dnia 15 stycznia.
Wybrano nowy zarząd — i zarząd zaala-
kował świetlicę. Roboty ruszyła. Zarzą-
dę się od Polewoja „Opowieści o prawdy-
wym człowieku”. Obejrano film, prze-
czytano książkę, poczym toczyła się za-
rząd dyskusja przez 8 kolejnych wieczorów.
Młodzież nauczyła się do świetlicy
przychodzić, zaczęła się uczyć piosenek,
rosły w niej ambie kulturalne i arty-
styczne. Dobra młodzież, trzeba ją było
tylko trochę ruszyć — i te z ZMP i te z
SP. W lutym młodzież ta odniosła dui-
gi sukces. Komenda Wojewódzka SP
ufundowała organizację jasienińskiej w
nagrodę za ofiarną pracę społeczną czter-
ech instrumentów muzycznych. Uroczystość
wzięcia nagrody odbyła się w Domu Lu-
dowym i na uroczystości te Janusz na-
uczył się śpiewać i tańczyć. Powstały ze-
spół amatorski, które niebawem zaczęły
promieniować na sąsiednie gminy. Robo-
ta poszła na całego.

W robocie tej wyróżniło się dwóch lu-
dzi. Obrany w styczniu przewodniczący
Zarządu Gminnego ZMP, Pawlicki, oraz
duża i kierownik zespołów tanecznych
i śpiewaczego w Jasienicy, Zdzisław Pio-
trowski.

O tych dwóch ludziach chciałbym wła-
śnie opowiedzieć, ich losy bowiem tu-
maczą lepiej niż wszystko inne ten nasz
skok w rozwoju kulturalnym młodzieży
jasienińskiej, który doprowadził do zało-
żenia w gromadzie świetlicy wzorcowej.
Nie przyszło to bowiem przypadkowo: na-
rastało w ludziach latami.

1.

Dział Pawlickiego wyemigrował
jeszcze przed pierwszą wojną świa-
tową do Niemiec, do Westalii. Gdy
ojciec Pawlickiego dorósł, poszedł
pracować do kopalni, gdy zaś wy-
buchła wojna, ruszył na front. Po
powrocie okazało się, że jest w trzy-
dziestu procentach inwalidą. Republi-
ka weimarska nie była laskawa wy-
płacać mu renty, a jako Polak sta-
ł się dyskryminowany przez kapi-
tałistycznych pracodawców. To zbli-
żyło go jeszcze bardziej do towarzy-
szy niemieckich i w r. 1926 wstąpił
do Komunistycznej Partii Niemiec.

W atmosferze takiego domu wzra-
stał młody Pawlicki. I w atmosferze

A kiedy włączyliśmy się do tak in-
teresującej dysputy — na temat wa-
lorów artystycznych książki Gólbie-
wa „Chrobry” i arcyrozwiązłej księ-
żki arcykatolickiego pisarza Kisiel-
skiego („Sprzysiężenie”) oraz na te-
mat naszej literatury i radzieckiej —
to w ogniu naszych argumentów jed-
no co najmniej rozumieli, że naród
na wsi za głupi i naiwny brad dłużej
nie mogą, że wszelkiego rodzaju mi-
tami dźsi sami tylko mogą się kar-
mić.

Jak na początku tego listu stwier-
dziłem — do 1945 r. w naszej gmi-
nie nie było żadnej biblioteki — o-
bencnie posiadamy bibliotekę, złożoną
z paru tysięcy tomów — z punktami
usługowymi na gromadach.

Setki książek co tydzień wędrują
pod strzechy. I nie w jednym domu
toczą się dyskusje o przeczytanych
książkach, o autorach. Niejednemu
naszemu pisarzowi proste chłopy ma-
ją wiele do zarzucenia.

Wielu naszych pisarzy nie zdjęło z
siebie jeszcze całkiem inteligentno-
mieszczańskiej skóry. I dlatego nie
zawsze umieją dojrzeć prawdziwą
wieś dzisiejszą, która daje pełne gar-
ście tematów niezmyślonych, a ży-
wych. Nie mówię już (jak to jest u
Gólbiewa) o wściecznych mitach fan-
tastyknych — ale, co znaczy to cią-
gie i uporczywe grzebanie w prze-
szłości? Terazniejszość i przyszłość
— to trzeba pojąć i zobaczyć, wtedy
i historia lepiej wyjdzie pisarzom! A
czytelnik na wsi czeka na literaturę
współczesną, ale taką, która by mu
zabita kłosa. Żeby się z nią musiał
mować i dyskutować swoim wła-
snym życiem. Żeby czuł, jak pisarz
stawi mu pytanie: KTO KOGO?

Taki NEDZA-KUBIENIC autor
poematu „Janosik”, który tak pięknie
opisuje bunt góralskie w przeszłości,
czy nie ma w polubskich wioskach
dzisiejszych już nie „Janosików”, ale
tych, co zwyciężyli i tworzą to życie,
o jakie niejasno walczył legendarny
Janosik?

Dlatego to w tygodniku „Oświaty”,
Książki i Prasy” wolamy do pisarzy
i literatów — twórcze nowe dzieła,
pomagając nam w marszu do socja-
lizmu.

Maj Ludwik

TADEUSZ SZEWEERA

Biblioteka w rodzinnym miasteczku Lucjana Rudnickiego

SZPERAJĄC wśród archi-
walnych papierów oraz akt,
dotyczących przeszłości ro-
dzinnego miasteczka Lucja-
na Rudnickiego, znalazłem
strzępy notatek pozostałych
jako — pewnego rodzaju osobliwość
— po jednej z narad ciała prezy-
dialnego Magistratu Miasta Sulejowa.
Dziś się to kilkanaście dobrych
lat temu, kiedy jeszcze wapienniki i
sklepy stanowiły nieograniczone źród-
ło dochodów kilkudziesięciu „przezac-
nych” mieszczan i, kiedy to pan Sko-
czek — niepodzielny właściciel tartaku
— obnosił się ze swą figurą po
wszystkich zabawach, czyli imprezach
natury społecznej, jako że był jed-
nym z ich organizatorów.

Rada Magistratu miasta Sulejowa
rozstrząsała wtedy trzy sprawy. Pier-
wsza... wypłynęła od ogółu miesz-
kańców, chociaż prezydium Magistratu
utrzymywało, że wniosek o wy-
budowanie laźni miejskiej pochodził
może jedynie od mniejszości sulej-
owskiej, to jest: od robotników za-
trudnionych w wapiennikach. Druga
sprawa... przekazana została na Radę
od bliżej nieznanych projektantów
budowy fabryki sztucznego jedwabiu
na terenie Sulejowa, co miało rzeko-
mo przyczynić się do ożywienia i
rozwoju miasteczka. Trzecia zaś sprawa
pochodziła od prezesa Ochotni-
czej Straży Pożarnej spod znaku
świętego Floriana i dotyczyła... u-
powszechnienia kultury.

Z pierwszą petycją rozprawiono się
nadmierzając szybko. Ojcowie miasta
byli bowiem zgodni w opinii, że
wszelkiego rodzaju laźnie są wymy-
słem i zbytkiem. Tym samym, pro-
jekt „mniejszości” sulejowskiej — ro-
botników z wapienników — nadawał
się li tylko do odrzucenia. Aby jed-
nak nie ściągnać na swe szanowane
głowy kławy i, aby decyzja miała
charakter isticie urzędowy, ojcowie u-
motywowali ją w sposób następujący:
— Laźnia jest niepotrzebna, albo-
wiem pod nosem przepływa rzeka Pi-
lica. Bez względu na porę roku mo-
gą się w niej przecież kąpać wszy-
scy mieszkańcy.

Po tym, istotnie salomonowym wy-
roku, rozprawiono się nie mniej sprawnie
i z godnością jaką winni re-
prezentować radni miasta, z drugim

wnioskiem, dotyczącym wybudowania
na terenie Sulejowa fabryki sztucz-
nego jedwabiu. Projekt odrzucono,
bowiem czynnikami były „bliżej niezna-
ne” a przez budowę fabryki miastecz-
ko straciłoby swój charakter, wygląd
i... rodzimy folklor — jak się wyra-
ził jeden z członków ciała magistrac-
kiego nie życząc sobie ożenku prze-
mysłu z handlem. Do tego, taka
fabryka przerobiłaby biednych chłopów,
licznie zamieszkujących miasteczko,
na robotników. Nie panowie, socjaliz-
mu nam nie trzeba...

Po tych dwóch sprawach, które nie
zabrały więcej, jak godzinę czasu,
zatrzymano się nad trzecim wnios-
kiem wniesionym przez dzielnych
strażaków. Wniosek dotyczył sulej-
owskiej biblioteki, czyli „ogniska kul-
tury”. Tej sprawie ojcowie miasta
poświęcili pozostałe trzy godziny. Bo-
wiem... około pięćset książek ułożo-
nych na półkach jednej szafy, w re-
mizie strażackiej, stanowiło dorobek
kulturalny miasta, włożony przez pre-
zesów straży pożarnej, burmistrzów
 oraz pozostałych ojców Sulejowa.

Podstawą do debaty nad tym trze-
cim punktem stanowił raport, takiej
mniej więcej treści:

— Na przeszło cztery tysiące miesz-
kańców, stałych czytelników jest
czterdzieści osób, na czele z panią
burmistrzową i jej córeczką. Te czter-
dzieści osób nie bierze żadnej spó-
ród 497 książek, leżących na półkach
w szafie, natomiast wyrzyna sobie
dosłownie trzy książki. A to: „Ordy-
nata Michorowskiego”, „Trędowatą” i
„Profesora Wilczur”. Pożyczający
zwracają je w stanie budzącym co-
raz bardziej poważne zastrzeżenia,
tylko tytułowa karta jeszcze wskazu-
je, gdzie jest początek, a gdzie ko-
niec książki. Niedługo zostaną strzę-
py z tych egzemplarzy, a upowszech-
nienie kultury trzeba nadal robić,
do tego domaga się pan starosta. Tym
bardziej, że robotnicy z wapienników
chcą nie tylko laźni, ale i książki.

Wnieśli oni do Zarządu Biblioteki
pismo zbiorowe, w którym wysuwają
cztery żądania. 1) Aby obniżyć kau-
cję i miesięczną opłatę. 2) Aby wy-
pożyczania odbywały się stale i re-
gularnie a nie na pół — prywatnie.
Z czego wynika, że pani burmistrz-
wej bibliotekarka sama przynosi

książki, a kto przyjdzie z przedmie-
cia Sulejowa, zastaje zawsze biblio-
tekę nieczynną. 3) Aby księgozbiór
był kompletowany według życzeń czy-
telników (to znaczy tych, co chcą
laźni!) 4) Aby zorganizowany został
kurs dla analfabetów przy bibliotece,
wówczas czytelników będzie co naj-
mniej 2 tysiące.

Jak widzicie, sprawy były nie by-
le jakie, lecz ojcowie miasta pora-
dili sobie z nimi doskonale i po
trzech godzinach wydali wyrok god-
nie wyrażający interesy właścicieli
tartaku, wapiennika, restauracji, dro-
gerii i innych sklepików.

Polecieli, celem „upowszechnienia”
czytelnictwa, zakupić kilkanaście no-
wych egzemplarzy... „Ordynata Mi-
chorowskiego” oraz „Trędowatej”, co
przyciągnie „inteligencję” miasta do
„ogniska kultury”, tzn. sulejowskiej
biblioteki. Z zakupem nowych egzem-
plarzy „Wilczurą” chwiliwo się
wstrzymano, bo z profesorami, nigdy
nie wiadomo, co im do głowy przy-
dzie... Zaś specjalnym ogłoszeniem,
postanowiono podać do wiadomości
analfabetów, że za karę, iż dotych-
czas nie nauczyli się czytać, wstęp
do biblioteki jest im w ogóle wzbro-
niony. Inne w tej materii żądania
również napiętnowano oskarżeniem o
wywrotowe tendencje.

Od tego też czasu do 1939 roku
sulejowska biblioteka nie powiększy-
ła się ani o jeden tom. W tym też
okresie upowszechniła się taka pio-
senka.

W mieście Sulejowie, moiści panowie,
Mamy „ognisko”... pięćset ksiąg blis-
ko,

Lecz czytelnictwo jest tak duże,
Ze prawie wszystkie... porosty ku-
rem,

*

A dzisiaj. Nie jedna, a pięć du-
żych szaf stoi wzdłuż białych ścian
dużej sali bibliotecznej. Nie pięćset
miernej wartości książek, a ponad
dwa tysiące tomów zalega półki. Nie
czterdziestu bibliotecznych „bywalców”
i bywalczanki, wywodzących się spo-
ród śmietanki kupiecko-fabrykancji,
a dwa tysiące pięciuset czytelników —
przedstawicieli młodzieży, robotników,
chłopów mieszkających w Sulejowie.

Wprost nie do wiary, by w
ciągu jednego roku odwiedziło biblio-
tekę w małej mieścinie dziesięć ty-
sięcy trzysta osób, które przeczytały
11 tysięcy książek. To się nazywa
funkcja społeczna biblioteki!

Przez trzy duże okna wlewają
się potoki słońca. W sali jest jasno,
przyniłem, Opodal pięciu szaf peł-
nych książek, stoją stoliki.

W pobliżu, wisi na ścianie wielka
tablica. Stoją przed nią dwaj chłop-
cy. Mają na sobie drelichowe kombi-
nezony uwalne wapnem. Odczytują
z tablicy nazwiska — Okońska Mag-
da, Romanowska Helena, Podwilecki
Józio, Kantor, Marchwiński, Lubczyk,
Różycka, Sarlej Edmund.

Przechodzą teraz do stolika przy
którym siedzi młody człowiek.
Ma na sobie taki sam, jak i oni,
kombinezon, uwalany wapnem.
Rękami podpiera głowę i zagłębił się
w lekturze. Czytał „Stare i nowe” —
Rudnickiego.

— Sarlej — szepnęli młodzi chłop-
cy — widziałeś siebie na tablicy?
Ty chyba po dwie książki czytałeś
dziennie! Co?...

Sarlej przewrót czytanie, koleday
usiłuj przy stoliku. Potoczyła się
przyczyna rozmowa. Dowiedziałem
się, że wszyscy trzej pracują w wa-
piennikach, jako robotnicy i biorą u-
dział w podwójnym współzawodni-
ctwie w zakładzie pracy i bibliotece.
Edmund Sarlej jest już podwójnym
przewodnikiem — w wapienniku i w
bibliotece. I tam i tu uzyskał zaszc-
zystny tytuł. A do niedawna jeszcze
Sarlej był jak ślepiec, figurował na
liście analfabetów.

Kiedy więc dowiedział się, że kie-
rownictwo biblioteki organizuje kurs
dla analfabetów przyszedł wraz z
dwoma kolegami z wapienników: Le-
szczyńskim i Pietrasem. Namówił
również swego brata — Józka. Dzi-
siaj czyta. To mało — powiedzieć —
czyta. Sarlej pochłania wprost książ-
ki. Jak powiada, są one jego jedyną
szkołą. Do prawdziwej szkoły Sarlej
nigdy nie chodził. Na książkach uczy
się świadomości politycznej, walki o
wzmoczenie produkcji, oceniania na-
szych ludowych zdobyczy.

Sarlej spogląda na zegarek. Zawi-
ja w gazetę książkę, czas już na
zmianę do wapienników. Jutro zasta-
niemy go znowu w bibliotece o tej
samej godzinie.

W drzwiach stała niemłoda już ko-
bieta. Jest nieśmiała. Przyszła po-
raz pierwszy do biblioteki. Pracuje
w wapiennikach jako robotnica od
niedawna. Dotychczas chodziła po
służbach u bogaczy.

— Chciałam pożyczyć książkę, w
fabryce mówili, że tu można.
Bibliotekarka przytakuje i podaje ko-
biecie katalog. — Proszę, niech pa-
ni sobie wybierze. — Kobieta przez
chwilę stoi niezdecydowana. — Ja
chciałabym ładną książkę. Zona go-
spodarza, u którego służyłam, czytała
taką jedną, ponoć piękną. „Trędowa-
ta” czy jak tam się nazywa.

Bibliotekarka orientuje się szybko
w sytuacji. — Dam pani jeszcze pięk-
niejszą książkę. — Tytuł — „Szalo-
na”. Autorem jest Krąszewski.

Robotnica odwraca barwną okładkę
książki. Wolno, wodząc palcem, od-
czytuje naklejoną na pierwszej stro-
nie kartę: — „Biblioteka mojego ro-
dzinnego miasta, która krzewi oświe-
tę wśród nas pracujących, książkę
tę ofiarował pisarz, Lucjan Rudnicki-
ki”

Tadeusz Szeveera

Witold Wirpsza

Gazetka gminna

Zagadka

Rozwiążcie taką zagadkę. Do sklepu gminnej spółdzielni w Lasocinie należy kolonia Linów. W tym Linowie siedzi na 10 ha matka z synem a to powiat opatowski, ziemie urodzajne. Synów jest właściwie czterech. Najstarszy żonaty, w mieście. Średni gospodarzy, dwóch najmłodszych w liceum. Wróćmy do tych 10 ha. Średni syn siedzi się, bo w Komitecie. Członkowskim GS-u powiedzieli „że szkoda mu się pisać na przychodzące towary, ma duży obszar ziemi i może kupić sobie gdzie indziej”.

Więc... kulać a Komitet stoi na stanowisku klasowym?

Badź tu mądry, kiedy w Janowie, który należy do tej samej gminy wychodzi inne sztyko z worka. Tu jest filia a miejscowy Komitet Członkowski „przyjął zasadę dzielenia towarów mnie, tobie, sobie i wszystkim równo”. „Dzieli się jednakowo, tyle temu co ma 9 ha i dwie osoby w rodzinie i tyle samo temu, co ma 2 ha i 7 osób”.

Ta „demokracja” została na zebra-

niu gromadzkim 3 lutego br. rozpatrzone szczegółowej. Zarząd musiał odczytać listę komu ile przydzielił. Okazało się wówczas, że „równość” różnych klas to parawan dla uprawiania krzyżowej nierówności. Biedna, wdowa z czworgiem dzieci otrzymała nie tylko nie równo ale o połowę mniej od takiego, który ma dwie osoby w domu i zatrudnia służącą a na dodatek figuruje w zarządzie koła ZSCH. Prezes koła chciał być Salomonem. Temu towar, kto wyrówna składki — oto rozwiązanie! Ale gromada przeprowadziła głosowanie i wybrała kilku nowych członków, protokół sporządzono i przesłano do gminnego prezesa ZSCH, czyli do Lasocina. A tu nie zgodzono się na zmianę Komitetu w Janowie, choć już w jesieni gromada składała prośbę o zmianę Komitetu. Wtedy prośbę przemilczano a teraz powiedziano — nie!

Co sądzić o gminnym ZSCH? Janusowe ma oblicze.

Zenon Cichon



Foto CAF

Powiatowe doświadczenie

Sprawa sięgnęła aż do PZGS w Skierniewicach. Powiatowy Zarząd Gminnych Spółdzielni otrzymał wcale bogaty obraz wsi klasowej, choć odzwierciedlał go jeden tylko list chłopski. Co on zawiera? Po nitce do kłębka, czyli od filii GS-u do punktu potajemnego uboju, stąd do punktów przedadunkowych (pod samą stacją w Skierniewicach) i punktów ukrywania zapasów na „pasek”. A teraz w drugą stronę. Co i kto bronił filii, w której zaginęła siła melina spekulacji? Obalony został dawny sołtys po to, aby nowy „krył” filię. Członek Zarządu PZGS po libacji kumoterstwu na lustracji i zebraniu gromadzkim bronił „porządków filii” i straszył krytykujących chłopów więzieniem. We wsi wrze. Sklepowa sama wreszcie składa podanie o zwolnienie jej z pracy, „bo ma zaufanie w Ameryce, której głosu słucha przez radio” — czyli pokątny ubój, jaki uprawia jej mąż oraz okradanie sklepu, kumoterstwu sprzedaż i gromadzenie zapasów na handel, co jest jej dziełem — odsłania ostrze wyrażenia politycznej dywersji. A jeszcze sprawa przyszłości. Sklepowa zostawia ciepłe miejsce dla współników i sołtysa i pracownice GS (9 hektarowego gospodarza), jako „młodzież” następców. To wszystko obrazował chłop z Grabini. I na cały ten splot wrogich sił szukał pomocy w redakcji „Gromady”. Ostatnie zdanie jego listu ostrzeża redakcję przed interwencją w Skierniewicach, bo „z tymi znaję się po cholewach”.

Suma sumarum — PZGS w Skierniewicach nie wiedział i nie doceniał strategii wroga w Grabinie. W zarządzie powiatowym miał członka, który nie był jego czynnym okiem i uchem ale adwokackim językiem spekulował z Grabin i czy tylko z „jednych Grabin”.

PZGS w Skierniewicach dowiedział się o tym wszystkim za pośrednictwem „Gromady”. I tak wówczas nadesłał odpowiedź redakcji.

„Zarząd PZGS Samopomocy Chłopskiej w Skierniewicach przeprowadził dochodzenie w sprawach poruszonych w liście Waszego czytelnika. Zarządy stawiane b. członkowi Zarządu ob. Chachule pokrywają się częściowo z prawdą. Wyjaśniamy, że ob. Chachula odszedł z Zarządu PZGS w styczniu br.”

Co do sklepowej ob. Tomczyk Sabiny i jej meża to opinia czytelnika pokrywa się z opinią naszą i miejscowych czynników. Sprawę uprawiania tajnego uboju i robenia zapasów przekazał nam organom MO.

Sklepowa Tomczyk zostanie zwolniona z pracy z dniem 30 kwietnia br.”

Tak wyglądają — zazwyczaj — wypowiedzi PZGS-ów i w takich interwencyjnych sytuacjach — zazwyczaj — bywają wymuszone. Interwencję przynosił każdy miesiąc do licha i trochę. Każdy urzędnik po kwartalnym urzędowaniu w PZGS-ie potrafiłby już zapisać księgę „wydarzeń” złożoną według drugu podziału: 1. filie, GS-y — i u nas czyli piętrów i 2. terytorialnie — według wsi i gmin.

Ale w takim razie, dlaczego to PZGS Skierniewice zachowuje się, jak „mądry Polak po szkodzi”? Bo opinia PZGS pokryła się z opinią czytelnika dopiero wówczas, gdy ten (przez „Gromadę”) interweniował? Gdzie powiatowe doświadczenie? Gdzie przewidywania taktyki i uderzeń wroga? Gdzie kontrola i łączenie się z masami chłopskimi w gminach i na gromadach? Dlaczego to tylko chłopci pisują do gazet a działacze z ZGS — nie? Jeśli chłop (jak to pokazał nam) w jednym liście ukazuje rozbudowany mechanizm gospodarczej dywersji wroga — jakich to wspaniałych i pouczających rzeczy moglibyśmy się dowiedzieć z artykułów PZGS-u.

A co najważniejsze — pokażcie koledzy działacze z PZGS-ów waszą pozytywną robotę, wasze osiągnięcia, wasze zwycięstwa w marszu do socjalizmu, bo chłop krytykujący filię i GS-y właśnie z tej pozycji, jak pisał niedawno Palenbas z Książki — „jeszcze bywa, że na stanowisko wchodzi tu ludzie, którym w obecnym ustroju i marszu do socjalizmu stanowiska te się nie należą”. Pokażcie co wypracowujecie i osiągnięcie w zakresie zbytu i zaopatrzenia w filiach, GS-ach i PZGS-ach — tym trzonem samopomocy chłopskiej.

Jan Kurzolega

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

Świadectwo przemian

LEZY przede mną kilka listów młodego górnika Józefa Wolasa. Pierwszy z nich pisany we wrześniu 1948 r., następne: lipiec 1949, styczeń 1951, maj 1952. Przy pierwszej dacie miejscowości: wieś Kanoniki Małe, przy drugiej Kielce, przy trzeciej Katowice, a przy czwartej na stemplu znowu Kanoniki. Zwróćcie uwagę na daty i miejscowości. Daty wyznaczają granice etapów rozwoju średniackiego syna, który stał się świadkiem budowniczym socjalistycznego przemysłu, adresy wskazują drogę tych przemian.

A więc pomówmy o drodze rozwoju Wolasa od 13 hektarowej gospodarki ojca do świadomości budownictwa socjalizmu w kopalni. Pomówmy? A cóż my mamy tu do powiedzenia? Głos ma tylko Józef Wolaś. My najwyżej pozostać możemy przy roli komentatorów, kreślących na marginesie uwagi.

*

„Wczoraj ojciec powiedział mi, że o dalszej szkole mowy nie ma. Ze on też nie uczył się, a własną pracą do 13 hektarów doszedł, 4 krowy i konia się dorobił, nie licząc tuczników. To wszystko ma zapisać na mnie i brata Franka. Toteż życie będziemy mieli zapewnione, a może nawet uda się hodowlę powiększyć”.

Zwróćcie uwagę, co kształtuje młodziencę wyobrażenia o życiu 16-letniego Józefa Wolasa we wrześniu 1948 roku, w miesiąc po pamiętnym Plenum sierpniowym KC PPR, w okresie powstawania pierwszych („niepewnych jeszcze”) spółdzielni produkcyjnych, w drugim roku planu 3-letniego, w roku coraz silniejszego podnoszenia głosu kulakstwa, które jakoś nie kwapiło się, by w myśl gomulskich koncepcji „wrasnąć w socjalizm”. Elementem kształtującym jest tu to, co stanowił drugą duszę średniaka: posiadanie. Spójrzcie jak obficie wylizanie zmieszczało się w kilku zdaniach listu: 13 ha, 4 krowy, 1 koń — „nie licząc tuczników”, których ilość „może nawet uda się powiększyć”.

„Ale mimo to — rozterka. Bo już w następnych zdaniach listu znajdują się takie uwagi: „Nie wiem kto tu ma rację. Bo jednak Janek Biskupski wyjeżdża do gimnazjum w Kielcach, a przecież jego także mogłoby wyżyć gospodarstwo, choć mają tylko 7 ha.”

Coś jednak ci „nie Wolasa... na szerze wody”, ci, ciągnie... Następny list pisany już w Kielcach w lipcu 1949 r. jest już dokumentem pierwszej, zwycięskiej potyczki z duszą posiadacza.

„Przyjechałem do Kielce na egzaminy. Matka i ojciec nie chcieli się zgodzić, ale ulegli”.

Nie, nie myślcie, że to już ostateczne zwycięstwo. To dopiero przetwarzanie pierwszej linii. Bo już w następnych

zdaniach Wolas pisze: „Wytłumaczyłem im, że gimnazjum wcale nie przeszkodził powrotowi na wieś, żeby się gospodarstwa nie zmarnowało”.

Decydowała więc młodzieńcza ambicja: Bo Biskupski jedzie a ja nie. Ale grunt pod tę ambicję stworzyć mogła ogólna sytuacja w kraju, dzięki której Biskupski mógł jechać. Wiele jeszcze czasu upłyne, nim „dusza posiadacza” u Józefa Wolasa ustąpi miejsca „duszy budowniczego socjalizmu”.

Gdzie w latach 1949-51 prowadziła drogę znacznej części młodzieży wiejskiej? Prowadziła do przemysłu. Z następnego listu pisanego po półtorarocznej przerwie w styczniu 1951 z Katowice dowiadujemy się, że chłopak przenosił się do szkoły górniczej i zaczął pracę w kopalni. Gdzie więc podzielił się zapewnienia o powrocie na wieś, „aby gospodarstwo się nie zmarnowało”? Nie o 13 ha już idzie. W pierwszym roku wielkiej sześciolatki Wolaś zrozumiał już, że treść życia polega nie na własnych hektarach, nie na 4 własnych krowach, własnym koniu, „nie licząc własnych tuczników”, których ilość „może nawet uda się powiększyć”.

Rozwijająca się spółdzielczość produkcyjna wykazała, że w przyszłości jego ręce mogą być zbędne na wsi. Rozbudowujący się przemysł ukazywał niezbędność tych rąk w mieście.

I chłopak idzie do przemysłu. Uczę się w szkole, zaczyna pracować w kopalni. Pierwsze jego wrażenia nie stanowią dowodu łatwego wciągania się i asymilacji w nowym środowisku. Pisze: „Tutaj wszystko wygląda inaczej niż czekałem. Ci, którzy znają zawód, zarabiają. Nam po odcignięciu za internet niewiele zostaje. A jeśli chodzi o współzawodnictwo, to nie tak łatwo przekraczać normy. Mówią, że jak się nauczymy, to będziemy też mogli. Ale ja nie wierzę.”

„Dlaczegoż to nie wierzy? Przecież z listu wynika, że na kopalni spotkał ludzi, którzy nie tylko wykonują normę, ale i przekraczają ją? „Mimo to — pisze dalej nasz korespondent — zostaną tu jeszcze. Przekonam się...”

Przekonamy się i my. Długo będziemy czekać na następny list. Kiedy przyjdzie w maju 1952 roku, w trzecim przełomowym roku 6-letki, nie dajmy się zasugerować miejscowości na datowniku. Kanoniki Małe? — Tak. Ale już w pierwszych wierszach listu zaczyna się sprawozdanie z wielkiej batalii, jaką stoczył z sobą samym autor, jaką do dzień stacza z własną przeszłością, przyzwyczajeniami, nawykami tysiące młodych chłopów, którzy w trudno-

ściach zawodowej pracy hartują się, zmieniają, wyrastają. Józef Wolaś wyrósł przez ten czas, wcale nie wiedząc, jak to się stało.

„Kiedy widziałem, że inni zaczęli przejmować się pracą, przekraczać plany, to i mnie praca nie mogła pozostać obojętną...” — Tak brzmi jedno zdanie listu. I praca nie tylko nie została obojętna. Stała się ambicją. Bo czym innym wytłumaczyć fakt, że już z końcem 1951 roku Wolaś wyrabia 120 proc. normy wydobywczej, a w marcu 1952 jest jednym z pierwszych, którzy dla uczczenia urodzin Prezydenta wykonują po 150 proc.?

„Powoli to wszystko zaczęło mnie interesować. I inaczej już patrzyłem na moją przeszłość, na dom”.

Dodajmy do siebie, że był to okres, w którym w okolicach Kanonik zaczęły powstawać spółdzielnie produkcyjne. Listy więc z domu i do domu omawiały te zagadnienia. Przez pół roku — jak donosi Wolaś — trwała ta korespondencja. „Teraz jestem na urlopie. Ojciec chyba się do skłonić, aby do spółdzielni przystąpić”.

Macie jeszcze jedno zagadnienie: Klasa robotnicza rozszerza swe szeregi o ludzi rekrutujących się z małych i średniorolnych chłopów. Z kolei poprzez nich sama oddziaływała na wieś, na nowe formy produkcji, na nowe ukształtowanie psychiki pracującego chłopstwa.

W czterech listach Wolasa znajdują się najbardziej typowe zjawiska przekształcania się narodu budującego socjalizm. Niedawno o Wolasie ukazał się w gazecie reportaż — ale o tych zagadnieniach nie było tam ani słowa. W zestawieniach cyfr wykonania planów zaginął żywy człowiek. Został „mat”, pod który można podkładać dowolne nazwiska. A przecież prawdziwą typowość Józefa Wolasa można pokazać — tylko na przykładzie jego osobistych, indywidualnych przeżyć.

Z ostatniego choćby, pierwszomajowego przemówienia Prezydenta Biera wynika, że klasa robotnicza zwiększyła się w porównaniu z okresem przedwojennym o blisko 3 miliony. Skąd rekrutują się ci ludzie? Oczywiście w ogromnej swej masie ze wsi. Literatura nasza nadal ma oczy na to zjawisko zamknięte. Nie dostrzega, lub pomija miśnienie jedno z zjawisk kształtujących nowy byt naszego narodu. A lukę tę trzeba zapełnić choćby dlatego, że pomijając tak poważne zagadnienie, fałszuje się obraz przemian, których jesteśmy świadkami i uczestnikami.

Zdzisław Polsakiewicz

ZYGMUNT STOLARSKI

Przedwojenna sensacja

KAZDA z redakcji gazetki ściennej czy wielonakładowej skupia aktywność złożeń z kilku samorodnych dziennikarzy. W każdej z nich jest niezmiennie po dwu i więcej entuzjastów tej pracy, którzy za nic by nie zaniechali jej. „W mojej redakcji” — takim entuzjastą jest Stanisław Walicki.

Jego liczne korespondencje do „Głosu Pracy” i „Dziennika Łódzkiego”, do łódzkiej rozgłośni radiowej, jego aktywność w pracach Rady Zakładowej, w organizowaniu i prowadzeniu kół Wszelchnicy Radiowej stworzyły mu opinię działacza społecznego, którego energia, zapał i postawa krytyczna postawiły już na nogi niejedną, zdawałoby się beznadziejną, sprawę.

Ciekawe są jego dzieje.

Urodził się w wiosce Kocina w powiecie łaskim i po ciężko zdobytych studiach został nauczycielem w powiecie sieradzkim w Gronowie, położonym o dziewięć kilometrów od wsi ojców. Młody nauczyciel, pełen marzeń i rojeń o roli wybitnej jednostki, które mu zaszczytowo przedwojenne seminarium nauczycielskie, uważał się postawił swój Gronów na wyżynach kulturalnych.

Do młodzieńczej głowy nie dotarła ani na chwilę świadomość, że jest to w warunkach ustroju burżuazyjnego niemożliwe. Marzył o stworzeniu czegoś w rodzaju Liskowa, koniecznie jednak bez udziału księdza. Już bowiem w o-wych latach był ateistą, czytującym stale „Wolnomyśliciela” i noszącym w sobie niechęć do bigotów i kleru, choć bał się ją za bardzo uewnętrzniać. Jakże — wiejski nauczyciel!

Chciał zacząć wielkie reformy od rozposzczernienia czytelnictwa, od „zaszczepienia w chłopie nalużu czytania” — jak sam to nazywał. A więc za pierwszą pensję nauczycielskiej kupował i prenumerował kilkanaście gazet, które rozsyłał lańcuszkiem od gospodarza do gospodarza. Równocześnie bardzo starannie prowadził kronikę szkolną, która miała być niejako rejestrem przemian kulturalnych, dokonujących się na wsi pod wpływem szkoły.

O swojej kronice pisze artykuł do miesięcznika nauczycielskiego „Praca Szkolna” w 1931 r. i otrzymuje honorarium. Za te pierwsze wierszówki kupił sobie garnitur, w którym paradował przez osiem lat i poprzysiął sobie pisać. Do prowadzenia kroniki wciągał młodzież szkolną. Odkrywał „talenty”, prowadził korespondencję z wychowanymi, którzy wyszli już ze szkoły z Gronowa i „na szeroki świat” wkraczali w życie społeczne.

Gronów wciąż jednak zostawał Gronowem, choć w ustępkach chłopskich wisiły pliki pociętych gazet pana nauczyciela.

W roku 1937 postanawia wydawać codzienną gazetę dla swej wsi przy po-

mocy uczniów. Nierealne? — Nie. Znaczenie energii i nieustępliwości kolegi Walickiego. Gazeta ukazuje się i wychodzi regularnie. Ma nazwę „Kurier Gronowski”.

Redaktor rozpoczyna popularyzując swego przedsięwzięcia w celu zyskania protektorów i opiekunów i część z ogólnego nakładu tysięcy egzemplarzy rozsyła do niektórych redakcji. Pismem zainteresowała się jedna gazeta, potem druga i oto w całej prasie w latach 1937 — 1939 jest głośno o Gronowie. Piszą o nim: „Głos Poranny”, „Polityka”, „Kurier Poranny”, „Kurier Warszawski”, „Wiś Polska”, „Rolnik Polski”, „Echo Sieradzkie”.

Czyżby „wynywny kulturalne” zostały zdobyte? Czy znikły walące się opłotki, zaprzestano waśni o miedze, czy skończyła się emigracja ze wsi za chlebem, czy „talenty” gazety gronowskiej rozpoczęły przełom w życiu wsi? Nie. Opiętnowicie wypatrzyli o wiele poważniejszy brak w Gronowie, gdzie sensacyjna sensacja, ale że chłop współredagował gazetkę, brak podstawowy — to brak plebanii. Zmobilizowano akcję wśród kulaków i tercjarę i choć była ona nie po myśli Walickiego, bardzo nie po myśli, musiał wszakże podjąć tę oddolną inicjatywę w swym „Kurierze” w sprawie utworzenia własnej parafii.

Jest charakterystyczne, jak szybko i z jak wielką pompą rozniósł gazetę sanacyjną na całą Polskę wieść o istnieniu w zapadłej wsi — codzienniego pisma. Chodziło o wiele rzeczy: o pokazanie wysokiej kultury tkwiącej w „czysto polskim” ludzie, o „rozrobienie” tematu: „Wybitna jednostka a narod” (***), o wszystko, tylko nie o to, żeby wykazać, jak w półfudalnej wsi bezpodłowa, bezskuteczna jest wszelka inicjatywa wszelkich zapaleńców.

„Kurier Gronowski” zyskuje fundatorów i opiekunów. Po 5-11 miesięcznie przysyłały były właściciel Gronowa i zarabiała na tym była inicjatywa „dobrego starego dziedzica”, jaka przez to chce kłócić. Niektóre przedsiębiorstwa przysyłały papier pościelowy, farby, a nawet papier korespondencyjny z nadrukami: „Redakcja „Kuriera Gronowskiego” — założyciel i redaktor Stanisław Walicki”. Ktoś drukarnia poznańska nadsyłała transport papieru na kilka nakładów z winitą tytułową wydrukowaną na pierwszym stronie.

W odpowiedzi na podania, prośby i podkijki Walickiego przychodziły listy zaczynające się od słów: „Jako czysto polska firma z przemysłowością powitałmy cenną inicjatywę JWPana...”.

Na tym jednak kończą się sukcesy „Kuriera”. W Gronowie zostało wszystko po staremu.

Oddajmy głos samemu Walickiemu: „Gdy wspominał swą przedwojenną działalność społeczną rzuca mi się w

oczy olbrzymia dysproporcja między włożonym wysiłkiem a wynikami.

Pracowałem, aby moi bracia — chłopcy — żyli kulturalnie, pragnąłem dla nich dobrobytu, a widziałem wokół siebie prymitywizm, zacofanie i nędzę.

Myślałem, że moja praca podźwignie wieś, rzucam się z motyką na słońce, bo nie byłem w pełni świadom rzeczy zasadniczej, tak dzisiaj oczywistej dla każdego człowieka: że w ustroju kapitalistycznym człowiek pracy lub mały posiadacz ziemi nigdy nigdzie nie będzie dopuszczony do życia kulturalnego i wygodnego, bo gdyby było dobrze masom, że byłoby kapitalistom.

Swoim uczniom pragnąłem dać dobry zawód, a musiałem ich wysłać po chleb za granicę, pragnąłem dla nich zaprosić oświaty, a nie zdołałem wysłać do gimnazjum ani jednego dziecka.

Czego pragnąłem, a nie dokonałem przed wojną, stało się w Polsce Ludowej: kilku moich uczniów skończyło szkołę średnią, a troje z nich wstąpiło do zawodu nauczycielskiego, przy czym moja uczennica uczy w szkole, z której sama wyszła i której ja oddałem dwa naście lat pracy.

Było przed wojną blisko milion dzieci w wieku szkolnym nie objętych nauczaniem... i było 10.000 nauczycieli bez pracy. Oto jedna ze sprzeczności kapitalistycznych hamujących rozwój kulturalny ludu polskiego.

Moje przedsięwzięcie — „Kurier Gronowski” — opierało swój byt materialny na ofiarności jednostek i dlatego po trosze uzależniało się od ofiarodawców. Dzisiaj byłoby inaczej. Dzisiaj spółdzielnia produkcyjna, PGR czy GRN znalazłaby w budżecie fundusze na wyposażenie swego organu prasowego.

Po wojnie przeniosłem się do miasta, zmieniłem zawód.

Stałem się korespondentem już wtedy, gdy jeszcze nie mówiło się o ruchu korespondentów. Wysyłałem listy do redakcji pism, np. do „Rzeczypospolitej”, aby Warszawa była miejscem konferencji pokojowej (było o tym głośno w prasie).

Raz wezwano mnie do redakcji „Dziennika Łódzkiego” i zaproponowano, abym został ich korespondentem. Zgodziłem się. Później zacząłem pisywać również do „Głosu Pracy” i „Polskiego Radia. Kilka razy przynano mi nagrody książkowe, raz pieniężną. Piszę wiele do gazetki „zakładowej”.

Zygmunt Stolarski

*) „Czcionka”, wielonakładowa gazeta załogi Zakładów Graficznych „Książka i Wiedza”.
**) „Polityka” omawiała działalność Walickiego w artykule pod znamiennym tytułem: „Upadek autorytetów na wsi”.

Kłopoty hodowców

— Mogłem odstawić 2 świniaki w marcu a trzeci w kwietniu i już bym się z obowiązku wywiązał. Tłumaczyłem też, tak i prosiłem o ten termin odstawić jako, że pilne są świnię wiosną dla państwa. A oni w GS-ie nakreślili mi taki plan: dasz 2 świnię w marcu a trzecią we... wrześniu. Znakiem tego muszę dać cztery — opowiadał z humorem malorolny Barcikowski z Przybysławia. W przedziale siedzieli sami chłopcy bydgoscy. Jechaliśmy do Torunia.

— U mnie inna bieda — podjął Kamiński z Biskupic. — W r. 1938 pobudowałem sobie na moim 4 ha gospodarstwo dużą szopę. Po huraganie. Siedzieli się dziwiłi, na co mi taka duża? Duża przed wiatrem lepiej się ostoi. A w obecnym czasie okazuje się już za mała. 7 świń w niej uchowam, więcej nie pomieszczę, a mógłbym 10, bo z ziemi je wyżywię.

Zwalczy kumoterstwo

W powiecie Złotoryja (gm. Zagrodno) jest wieś Osetnica. We wsi filia GS (Nr 7), w sklepie zła sklepowa. Dlaczego zła? Na to pytanie odpowiada partyjny chłop z Osetnicy. Odpowiada bardzo znamienne. Zło nie kończy się na sklepowej i dlatego trwają. Autor listu zarysowuje trzy sily: filię (sklepowa) — GRN i GS — oraz gromadę małą i średniorolnych i robotników PGR-u. W jakich powstają te sily związków i konfliktach? Chłopi przynoszą do sklepu jaja. Sklepowa przyjmuje je „za wielką prośbą; bo jej się to nie opłaca, ma grosze od jaja! Kiedy chłopci mają: siew sklepowa „odwozi do GS drożdże aby ludzie szli sześć kilometrów do miasta, kiedy tak ważna akcja siewna”. Materiały sklepowa akumuluje, że brak na metrze po 7 cm. Od agentki sklepowa kupuje swetry za cukier, który winna wydać pracownikom PGR czy innych zakładów pracy. Gdy ma jechać do GS-u po materiał

zapowiada „koleżankom”. W sklepie kobietom ciężarnym każe czekać w kolejce ale „koleżankom” daje ponad głowami oczekujących. Kłnie i wymusza ordynarnie starym ludzom.

Dość — powiedziała gromada i złożyła z podpisami petycję do GRN-u i GS-u, żądając usunięcia sklepowej i na jej miejsce powołania innej, której mąż służy w Wojsku Polskim, a ona jest bez pracy. Pismo na szczeblu gminnym zginęło. Na ustne petycję „władze odpowiadają — my tam do was przyjedziemy i tak jadą już okrągły rok”. Co to znaczy? Znaczy to, że „między ojcem sklepowej a tymi w gminie trwa kumoterstwo nierozzerwane”. „Czy my członkowie partii mamy na to patrzeć i bagatelizować sobie? Nie! Zeby zwalczyć kradzież i nieuczciwość w filii trzeba sięgnąć wyżej. A kumoterstwo moim zdaniem jeszcze zwalczyć możemy”.

Edward Molenda

Nie na darmo czytają

Pisze młody ZMP-owiec z PGR-u Pakostaw (pow. Iłża). Wstąpił listu kłóci się z dalszym jego ciągiem. Dalej bowiem dowiemy się o sprawach niedobrych. To skłócenie jest jednak pozorne. Bo o czym donosi wstęp? Na 45 mieszkańców PGR-u 39-ciu przenieurę „Standar Młodych”, 9-ciu „Robotnika Rolnego”, poza tym u wioła jest „Przyjaźń”, „Gromada”, „Wioła Wiś”, „Przyjaciółka”, „Rolnik”. W każdym domu dwie a nawet trzy gazety. Co to znaczy? Pracownicy zespołu pęgerowskiego mają kulawy, łakną jej, zdobywają! Z kregu takich ludzi pochodzi list młodego ZMP-owca. List krytyczny. Ale patrzcie, jak to bogata, mądra i socjalistyczna krytyka. Idzie o kierownika PGR-u. „Ważna to figura a nie ma pojęcia o gospodarce socjalistycznej. Chodzą słuchy, że był jasnie panem, czy coś takiego. Żyje dobrze z tymi, którzy mu czapkęją. Na innych patrzy z góry. Zetempówki wywalał od dworskich dziwek. Płoty się wała, w szopie, gdzie stoja krowy nadzieleny, brak okienek, siano ginie — a pan kierownik tego nie widzi. Narady produkcyjne nie odbywają się. Nie robi się kolektywnie planu robót, nie podnosi po ziomu politycznego. Pan kierownik No-

wakowski stoi ponad nami, nie ma zaufania do nas, do naszej wiedzy i chęci podniesienia pracy. Boi się jak ognia krytyki i nie dopuszcza abyśmy chłopcy poculi się współgospodarzami. Dla świetlicy nie ma opalu, kierownik w ogóle nie wie, co to świetlica, bywa w niej raz na miesiąc gościem, kiedy odbywa się odczyt TWP. Tyle dla oka. A myśmy wystawiali sztukę „W czasie burzy”, akademie na każdą uroczystość, 6 wierzoków artystycznych.

Może być u nas inne życie ale trzeba kontroli i oceny pracy kierownika, która hamuje naszą pracę rolną i rozwój naszego zespołu”.

Zenobiusz Kret

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejskie i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 732-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Stajkiewicza nr 7

Prenumerata i korpotaż: P. P. K. „Ruch”. Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25

Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751 80 dod. wewnętrzny 81, 83

REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA

Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 3,— zł, kwartalnie 9,—; półrocznie 18,—; zł: rocznie 36,—, 23. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wiś”.

RSW „PRASA”, Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-19119